

Dziś w jubileuszowym numerze: ● O „Odgłosach“ dobrze i źle ● „Błędy i wybaczenia“ ● Nasze mieszkanie ● Reportaż podwójnie intymny ● Mój flirt z „Odgłosami“ ● 2 x Ćwiek ● Felieton z łezką ● Konkurs

Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź - Widzew
P. 47 19 68



10 (540)
10. III. 1968 r.
12 stron
Cena 1 zł

odgłosy

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



*Kobietom w Dniu Ich Święta
najlepsze życzenia*

składają „ODGŁOSY“

REDAKCJA TYGODNIKA

„ODGŁOSY“

OGŁASZA KONKURS

na reportaż pod hasłem

MŁODZI
POLACY
lat 60-tych

Pod tym hasłem organizatorzy rozumieją obszar tematyczny obejmujący wszelkie aspekty życia współczesnego młodego pokolenia — a więc problematykę polityczną, produkcyjną i obyczajową — oczekując zarazem, że reportaże niezależnie od formy i tematu będą zaangażowane przez swą wymowę ideową w aktualną problematykę naszego czasu.

Nigdzie dotąd nie publikowane prace nie przekraczające piętnastu stron maszynopisu należy nadsyłać w trzech egzemplarzach na adres redakcji „Odgłosów” w terminie do 31 maja 1968 r. Praca winna być zaopatrzona w godło, a w dołączonej do pracy zaklejonej kopercie, opatrzonej tymże godłem należy umieścić imię, nazwisko i adres autora.

Konkurs jest otwarty, udział w nim mogą brać wszyscy, niezależnie od przynależności do ZLP czy też SDP.

Ustala się następujące nagrody:

Nagroda I — 6000 zł

Nagroda II — 4000 zł

Nagroda III — 2000 zł

3 wyróżnienia po 1000 zł

Redakcja podejmuje starania o przyznanie nagród specjalnych. Sąd konkursowy, w skład którego wejdą przedstawiciele ZLP, SDP i redakcji „Odgłosów” zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną do dnia 22 lipca 1968 r.



Spotkanie konsultacyjne partii komunistycznych i robotniczych w Budapeszcie, rozpoczęte 26 lutego z udziałem 67 delegacji, w chwili zamykania bieżącego numeru „Odgłosów” jeszcze trwa. W czasie obrad prowadzi się otwartą wymianę poglądów na temat zwołania światowej narady, jej tematyki, miejsca i terminu oraz trybu przygotowania. Z dotychczasowego przebiegu dyskusji (do ustorku zabrali głos przedstawiciele 61 delegacji) wynika, że niemal wszystkie delegacje uznają za słuszne niezwołanie z naradą, która — sądząc po wypowiedziach — odbędzie się w terminie listopad — styczeń w Moskwie i poświęcona będzie walce z imperializmem. Spotkanie budapeszteńskie najprawdopodobniej zdecyduje o wyłonieniu komisji przygotowawczej z siedzibą w stolicy Węgier. Zanim jednak zapadną postanowienia na ten temat — zwróćmy uwagę na kilka istotnych spraw.

Ruchowi komunistycznego, który ogarnia już niemal 100 krajów, a w tej liczbie 14 krajów, gdzie partie komunistyczne i robotnicze są u władzy państwowej, sprawia, że socjalizm, zachowując swą istotę, przybiera różne formy narodowe. Stąd wynikają i różnice poglądów co do taktyki walki. Niejednolita, co także jest zrozumiałe, jest i ocena perspektyw sytuacji międzynarodowej. Pogląd, że wobec tego z porządku obrad światowej narady należałoby wyeliminować kwestie sporne i ograniczyć się tylko do tych, co do których istnieje zbieżność stanowisk, jest jednak niestuszny. Wprowadzenie zakresu zagadnień, na które istnieje jednolity pogląd, jest znacznie szerszy od tego, co wywołuje różnice zdań, trudno przecież pominąć w przyszłej dyskusji wiele kluczowych spraw tylko z powodu ich spornego charakteru. Przemilczenie tych kwestii może pogłębić różnice poglądów, szczere przedyskutowanie natomiast pozwoli wyjaśnić przesłanki takiego, czy innego stanowiska.

Dyskusowanie przez jedną partię linii politycznej innej, nie oznacza naruszenia zasad niezależności. Każda z partii samodzielnie ustala swoją politykę wewnętrzną i międzynarodową. Nie może ona jednak nie uwzględniać współzależności, jaka istnieje między zadaniami narodowymi i międzynarodowymi całego ruchu komunistycznego. W tym sensie trudno pogodzić się z tymi, którzy uważają, że jakakolwiek wymiana poglądów na temat polityki określonej partii jest naruszeniem jej suwerennych praw.

Na światowej naradzie każda partia powinna mieć możliwość nieograniczonego wypowiedzenia swego zdania w każdej sprawie. Ale światowa narada nie ma być tylko forum dyskusyjnym, jej wynik powinien zawierać odpowiednie dokumenty.

Czy to z góry zakłada konieczność identyczności opinii? Wcale nie. Poszczególne partie, jeśli uznają to za słuszne, mogą nie przyłączać się do określonych tez, czy też nie podpisywać pod niektórymi z dokumentów. Nie będzie w tym nic niernormalnego, tak, jak nie ma nic niernormalnego w tym, że istnieją różnice poglądów.

I jeszcze jedna sprawa — kogo zaprosić na światową naradę? Przed spotkaniem konsultacyjnym były głosy, czy nie rozważyć udziału w naradzie wszystkich sił i ruchów antyimperialistycznych. Nie wykluczając tej możliwości w okresie późniejszym — idea ta wymaga jednak przemysłu i konkretyzacji. Dlatego w dyskusyjnej obecnie światowej naradzie powinny wziąć udział tylko partie komunistyczne i robotnicze.

Takie stanowisko na temat narady wyłożył w imieniu PZPR na budapeszteńskim spotkaniu Zenon Kliszko — członek Biura Politycznego i sekretarz KC. Spotkało się ono z szerokim zainteresowaniem. Komentatorzy podkreślają przede wszystkim realistyczną ocenę sytuacji, zawartą w stanowisku PZPR oraz logiczną i rzeczową argumentację. Zwracają uwagę na pozostawienie otwartych drzwi i tym partiom komunistycznym, które z różnych względów nie są reprezentowane w Budapeszcie — nie tylko do udziału w naradzie, ale i pełnego włączenia się w tok jej przygotowań.

Przebieg obrad budapeszteńskich zakończony został wycofaniem się ze spotkania delegacji rumuńskiej. Nie uzyskawszy poparcia dla swojego żądania potępienia przez obradujące partie wypowiedzi sekretarza generalnego KC KP Syrii — wyjechała ona z Budapesztu. Partia syryjska dała wyraz w swoim wystąpieniu krytycznemu stanowisku wobec Rumuńskiej Partii Komunistycznej w związku z jej postawą po agresji Izraela na kraje arabskie. Mimo, iż kierując się wyższymi względami sekretarz generalny KP Syrii zgodził się na wycofanie tego fragmentu przemówienia z protokołu i delegacja rumuńska w pierwszej fazie uznała incydent za niebyły — następnie domagała się jednak pośpiechu syryjskiej wypowiedzi. Tym żądaniem sama się wycofała.

Decyzja RPK o wycofaniu się z uczestnictwa w spotkaniu, oczywiście nie przesądza o jej udziale w światowej naradzie.

Podczas gdy w Budapeszcie trwa konsultacyjne spotkanie, oficjalnie podano do wiadomości, że 6 bm. zbierze się w Sofii Doradczy Komitet Polityczny Państwa — Stron Układu Warszawskiego. Tematyka obrad nie została ogłoszona, można jednak przypuszczać, że w stolicy Bułgarii przedyskutuje się najważniejsze problemy aktualnej sytuacji międzynarodowej.

Najprawdopodobniej w ścisłym związku z tą zapowiedzią pozostaje dwudniowa wizyta min. A. Rapackiego w Pradze, w czasie której gość spotkał się również z premierem Lenertem.

W rozmowie z przedstawicielami prasy polskiej w Pradze min. Rapacki stwierdził, że jego konsultacje z czeskosłowackim ministrem dotyczyły przede wszystkim problemu europejskiego bezpieczeństwa.

Warto w tym miejscu przypomnieć Czytelnikom, że w dniach 26—27 lutego odbyła się w Berlinie narada siedmiu wiceministrów spraw zagranicznych państw Układu Warszawskiego.

W. SŁAWSKI

Tkronika Tygodnia

Ruch sprzeciwu w stosunku do polityki wietnamskiej Johnsona zaczął ogarniać koła czołowych i najbardziej amerykańskich biznesmenów, którzy w innych sprawach popierają obecnego prezydenta. Wyrazem tego zjawiska jest uformowanie się komitetu przemysłowców i handlowców, przeciwników wojny wietnamskiej. Liczy on już około 2.000 członków, dyrektorów i właścicieli wielkich przedsiębiorstw, przeszło 100 cernów itp. „Jako ludzie interesu uważamy, że jeśli do-

posunięcie jako „doniosły krok w kierunku integracji gospodarczej Cisjordanii z Izraelem”.

Według informacji prasy amerykańskiej, niedawny wypadek u wybrzeży Grenlandii samolotu „B-52” z bombami nuklearnymi na pokładzie spowodował miał zasadniczą dyskusję w Pentagonie nad celowością kontynuowania przez Stany Zjednoczone dotychczasowej praktyki tzw. lotniczo-atomowego pogotowia, polegającej na utrzymy-



Nawrót starej choroby.

(Prawda)

tychczasowe metody postępowania okazały się zawodne, należy je zmienić. Jesteśmy za polityką dezescalacji wojny, co winno prowadzić do całkowitego wycofania się Ameryki z Wietnamu” — oświadczył H. Willens, nowojorski przedstawiciel komitetu.

„Frankfurter Rundschau” wypowiada się w artykule wstępny z zniechęceniem do KPD: „Było i jest rzeczą głupią zakazywanie KPD, w dodatku w tym czasie, kiedy KPD może bez przeszkód rozwijać agitację... Tylko w państwach faszystowskich i półfaszystowskich komunistów zeszani są do podziemia...”

W Pradze odbyło się posiedzenie komisji Komitetu Centralnego KPCz do spraw stopy życiowej. Komisja obradowała nad posunięciami, jakie należy przeprowadzić w roku bieżącym, aby zareagować we właściwy sposób na spadki realnej wartości plac oraz dodatków rodzinnych, będący następstwem stałego wzrostu kosztów utrzymania.

500 prawników — naukowców podpisało ostatnio apel do Johnsona domagając się w nim stopniowego ograniczenia działań wojennych w Wietnamie i wzmożenia wysiłków rządu w kierunku całkowitego zakończenia wojny. Prawnicy, zapowiedzieli też przeprowadzenie akcji antywojennej, która obejmie wszystkie uczelnie prawnicze USA.

Okupacyjne władze izraelskie ogłosiły likwidację placówek celnych pomiędzy anektowaną arabską częścią Jerozolimy a resztą terytoriów okupowanej Jordani. Obserwatorzy — pisze AFP z Jerozolimy — oceniają to

waniu w powietrzu określonej liczby samolotów uzbrojonych w ładunki nuklearne.

Znany pisarz chiński — Pa Czin był ostatnio krytykowany na szeregu specjalnie w tym celu zorganizowanych masowych zebraniach. Szanghajski dziennik „Wenhai-pao” stwierdza, że według Pa Czin myśli Mao Tse-tunga nie są niczym innym jak tylko „dogmatem i palką”. Do końca 1966 roku Pa Czin był wiceprzewodniczącym chińskiego stowarzyszenia kulturalnego i wiceprzewodniczącym Związku Pisarzy Chińskich oraz deputowanym do Zgromadzenia Ludowego Szanghaju. Pa Czin — pisze dalej „Wenhai-pao” — wspiął się do góry publikując swoje dzieła w czternastu tomach, dzięki czemu stał się bogaczem i zgromadził fortunę w wysokości 300 tysięcy juanów.

W Pradze odbyło się posiedzenie dwu klubów Stowarzyszenia Dziennikarzy CSRS: masowej prasy politycznej oraz polityki wewnętrznej. Tematem posiedzenia była ustawa prasowa, jaka weszła w życie 1 stycznia 1967 roku. Ustawa prasowa znalazła się w ogniu krytyki. Wskazywano, że znaniomuje ją brak zaufania do dziennikarzy. Podjęto uchwały w sprawie nowelizacji ustawy prasowej tak, aby pełną odpowiedzialność ponosili naczelnicy redakcji. Uchwały skierowano do Stowarzyszenia Dziennikarzy oraz do komisji prawnej Zgromadzenia Narodowego.

Wśród 70-ciu krajów, które oficjalnie podpisały się pod przyjętą przed 19 laty przez Zgromadzenie Ogólne ONZ konwencją przeciwko ludobójstwu, nie ma po dziś

dzień Stanów Zjednoczonych. „Jak na ironię nie figuruje” — myślał jeden z uczestników konferencji, która oficjalnie potępiła zbrodnie ludobójstwa przystępując do uchwalonej w tej sprawie przez ONZ konwencji. Gorzki to fakt, że nie ma nas wśród tych, którzy uznali ludobójstwo za międzynarodową zbrodnię — powiedział senator R. Proxmire, zwracając uwagę na ten fakt.

9 państw arabskich Zatoki Perskiej wyraziło zgodę na utworzenie federacji. Federacja będzie ogłoszona formalnie 30 marca br. Obejmuje ona wyspę Bahrein, półwysp Katar oraz 7 emiratów Zatoki Perskiej znajdujących się obecnie pod protektorem brytyjskim. Nowa federacja wyraziła życzenie wstąpienia do Ligi Arabskiej. Będzie to 15 z kolei państwo członkowskie Ligi.

Francja dostarczy Arabii Saudyjskiej 220 lekkich samochodów pancernych, pomimo protestów proizraelskich koł politycznych, domagających się, by Francja powstrzymała się od dostaw broni dla bloku arabskiego. Zawarty kontrakt jest uważany za sukces gospodarczy i polityczny Francji, ponieważ przedtem Arabia Saudyjska zamierzała zakupić podobne samochody w Anglii.

Amerykański departament stanu szacuje chiński eksport do krajów zachodnich w roku 1966 jako najwyższy na przestrzeni kolejnych 5-ciu lat. Eksport ten przyniósł Chinom zysk większy o 308 milionów dolarów w porównaniu z rokiem 1964. Import Chin z krajów zachodnich obejmował towary na sumę 1.494 miliony dolarów, co jest również rekordem na przestrzeni 4 lat.

Redakcji popularnego dziennika hawajskiego „El Mundo” przydzielono pod opiekę 12-hektarowe gospodarstwo rolne. Redakcja i administracja dziennika zobowiązane są utrzymywać tam stale na zasadzie tygodniowej rotacji, brygadę ochotniczą złożoną z 60-ciu osób. Tak więc połowa personelu dziennika będzie się znajdować stale na wsi. Sekretarz organizacji partyjnej „El Mundo” jest osobiście odpowiedzialny za wyniki pracy gospodarczej.

Korespondenci japońscy pisząc o sytuacji w Chinach stwierdzają, że 42 chińskich ambasadorów przebywających za granicą zostało odwołanych do kraju. Tylko dwaj z nich powrócili na zajmowane uprzednio stanowiska.

Prezydium Zgromadzenia Ludowego Bułgarii uchwaliło ważny dokument — jak podkreśla prasa bułgarska — dekret o podniesieniu przyrostu naturalnego, mający na celu stworzenie lepszych warunków materialnych dla rodzin wielodzietnych. Jednocześnie wprowadzono daleko idące ograniczenia przerywania ciąży.

Korespondent Reutera o przygotowaniach czynionych w Stanach Zjednoczonych do nowego „gorącego lata”: „Karabiny maszynowe, granaty z gazem łzawiącym, opancerzone pojazdy i tajne arsenały — to wszystko gromadzi się po cichu w większych miastach amerykańskich w ramach przygotowań policji do nowego długiego, gorącego lata. Zastoso-

wana zostanie najbardziej nowoczesna broń, jaka kiedykolwiek została użyta dla utrzymania porządku publicznego. Część jej została wypróbowana w Wietnamie.

W Waszyngtonie umacnia się wrażenie, że zamiast dążyć do nawiązania rokowań, prezydent Johnson koncentruje obecnie swe wysiłki w celu intensyfikacji amerykańskiej działalności wojskowej w Wietnamie. Z napływających doniesień wynika także, że administracja Johnsonowska zamierza nasilić ingerencję wojskową w Laosie.

Zgodnie z obowiązującym w Jugosławii ustawodawstwem, co 4 lata mają być przeprowadzone w każdym przedsiębiorstwie wybory dyrektora. W tym roku odbędą się w Serbii wybory dyrektorów w 2500 przedsiębiorstwach. Przedstawiciel Komitetu Wykonawczego KC Serbii — Józef Nadj stwierdził, że gdy w 1966 roku odbywały się wybory dyrektorów w 420 zakładach pracy na terenie Serbii, tylko w 71 zakładach wybrano nowych dyrektorów. Tego rodzaju wynik był niepomysłny, gdyż 15 proc. dyrektorów miało ukończoną tylko szkołę podstawową, a 15 proc. nie miało ukończonej pełnej szkoły średniej.

W Bułgarii praktycznie nie przyjęli się mini-społeczki u dziewcząt, a długie włosy u chłopców. W szkołach przestrzega się, aby dziewczynki nosiły sukienki do kolan, a nawet za kolanami, a chłopcy krótkie włosy.



Moda à la USA. (Paris Match)

LISTY do REDAKCJI

DO REDAKCJI „ODGŁOSÓW”

Dziękuję Redakcji za poruszenie problemu, który mnie jako zagorzałego lo-

dzianina mocno zainteresował.

W „Odgłosach” z dn. 21.I. 1968 r. poruszyliście sprawę zasług Rajmunda Rembielińskiego jako „ojca” Łodzi

przemysłowej. Łódź, choć wielki kolos, jest jako miasto mało znane przeciętnemu mieszkańcowi Polski i naszego miasta. Rzekomo jest to miasto bez historii. Znamy aż nadto to złośliwe porzekadło, że Łódź to wieś z ul. Piotrkowską... itd. Najwyższy czas udostępnić poznanie przeszłości owego centrum przemysłu włókienniczego. Projekt budowy, w Łodzi

pomnika Rembielińskiego — założyciela przemysłu włókienniczego, uważam za doskonały i wstydy, że tak długo trzeba było na niego czekać. Naturalnie, że projekt popieram i proszę Redakcję o zainteresowanie problemem władze kompetentne, a również i Tow. Przyjaciel Łodzi.

WACŁAW BRYZIEWSKI

Odgłosach

DOBRZE i ZŁE

ROZMAWIAMY Z KIEROWNIKIEM ŁÓDZKIEGO WYDZIAŁU KULTURY — RYSZARDEM STEFANCIKIEM.

— Czy Pańskim zdaniem pismo społeczno-kulturalne typu „Odgłosów” powinno mieć jakieś cechy specyficzne uwarunkowane specyfiką tego miasta?

— A więc zaczęliśmy od spraw regionalizmu. Nie uważam, aby w naszym mieście istniała potrzeba nadawania tygodnikowi jakiegos szczególnego piętna. „Odgłosy” noszą nazwę pisma regionalnego, ale moim zdaniem regionalne powinno oznaczać tu: obsługujące określony region, nigdy zaś: ograniczające się do spraw regionu. „Odgłosy” docierają do łódzkiego czytelnika szerzej niż tygodniki ogólnokrajowe. A więc zadaniem „Odgłosów” jest wychodzenie poza tematykę łódzką, pokazywanie co w kulturze całego kraju się dzieje ważkiego i ciekawego. Chodzi oczywiście o sprawy istotne, mające znaczenie ogólnopolskie, mogące być dla nas bodźcem, czy wzorem do naśladowania. Dotyczy to w równej mierze na przykład recenzji z ciekawszych przedstawień teatralnych w innych miastach, co zjawisk kultury masowej.

Z pojęciem regionalizmu w ciasnym tego słowa znaczeniu wiązać się może niebezpieczne zjawisko prowincjonalizmu czy wręcz partykularyzmu. Muszę przyznać, że czasem niepokoją mnie akcenty tego typu w naszym mieście. Razi mnie wypowiedzianie się z pozycji ubogiego krewnego, bolejącego nad swym upośledzeniem. Wydaje mi się, że umie właściwie tego unikać Kraków. Przeczytałem kiedyś w „Życiu Literackim” artykuł, w którym autor uduwnia potrzebę zbudowania w Krakowie wytwórni filmów fabularnych. Słusznie czy niesłusznie dowodził on, że jedynym powołaniem do tego miastem jest właśnie Kraków, że tylko tam jest baza artystyczna, miejsce i wszelkie warunki, a ogólny tenor wypowiedzi sugerował, że tylko przez niedopatrzenie czy lekkomyślność władz, wytwórnie istnieją w Łodzi i Wrocławiu, gdzie nie mają szans rozwoju. I że niedopatrzenie to trzeba jak najszybciej zlikwidować. Nie będę oczywiście uosunkowywał się do merytorycznej strony tego wywodu, ale zaimponował mi ton, w jakim Kraków walczy o awans dla miasta. Bez kompleksów, bez biadolenia, nawet z pełną dozą megalomanii. Może tak trzeba?

— A jak Pan, z punktu widzenia kierownika miejskiego resortu kultury, widzi funkcję pisma, jego twórczy udział w życiu kulturalnym miasta?

— Przede wszystkim chyba jest to potrzeba głęboko analitycznych materiałów, atakujących problemy centralne dla życia miasta, nie rozdrabniających się na sprawy peryferyjne. Potrzeba analizy nie tyle wydarzeń jednostkowych, omawiającej i oceniającej naszą politykę i działalność na poszczególnych odcinkach w dłuższych okresach czasu. Na przykład, znajdujemy się obecnie w nieustannym ciągu rocznic — ważnych i doniosłych. Organizujemy wiele akcji, imprez, konkursów itd. Każda z placówek na swój sposób i według swych możliwości czci te wydarzenia. Czy to co zrobiliśmy jest dobre, słuszne, czy można było zrobić lepiej, a może inaczej? Takie analizy są chyba potrzebne.

Znamy wiele faktów i zjawisk, nie znamy ich przyczyn. Znow dla przykładu: czytelnictwo. Znamy długie szeregi cyfr, danych statystycznych. Dzięki nim wiemy wiele rzeczy, między innymi choćby to, że

liczba wypożyczeń na jedną książkę jest zbyt mała i że w stosunku do ubiegłych lat jeszcze się obniżyła. Ale nie znamy przyczyn tego zjawiska. Myślę, że tu jest pole do działania dla publicysty.

Oczywiście, zagadnieniem tym mogą zająć się katedry i zakłady naukowe, które w ciągu 2—3 lat dostarczą nam szeroko opracowanych danych. Ale dysertacja naukowa powstaje długo, ma innych odbiorców, inny zasięg działania. Publikacja prasowa ma charakter interwencyjny, zasięg szerszy, szybsze działanie. Może być sygnałem alarmowym, że gdzieś dzieje się źle. Tego właśnie typu artykuły, głęboko przeanalizowane, odwołujące się do samych źródeł, są przywilejem i domeną pisma społeczno-kulturalnego. Tak samo zresztą, jak powinno być ono miejscem wypowiedzi naukowców teoretyków, socjologów, historyków itd. I szerokim forum dla dyskusji środowiskowych, do wymiany kontrowersyjnych poglądów na różne zjawiska życia kulturalnego. Dziwię się, że „Odgłosy” są takim forum w zbyt małym jeszcze stopniu. A przecież niektóre publikacje budzą sprzeciw i aż się proszą o polemikę.

— My też się dziwimy. Często świadomie drukujemy materiały kontrowersyjne w nadziei, że wywołają burzę dyskusji. Widać jednak wstręt do pióra jest silniejszy niż o-

nia objętości, co zapewne rozwiązałoby wiele problemów.

— * —

ROZMAWIAMY Z KIEROWNIKIEM WOJEWÓDZKIEGO WYDZIAŁU KULTURY — BOLESŁAWEM URBĄŃSKIM.

— Pan będzie oceniać nasze pismo niewątpliwie z punktu widzenia potrzeb regionu?

— Oczywiście, ale nie tylko. Jestem również prywatnie ważnym czytelnikiem „Odgłosów” jeszcze od czasów, w których nazywały się one „Kronika”. Pozwalam sobie tak powiedzieć, bo celem „Kroniki” za jej ambitne zamierzenia i realizację tych zamierzeń. Wydaje mi się, że „Odgłosy” kontynuując najlepsze tradycje swej poprzedniczki, potrafiły zyskać, poprzez atrakcyjniejsze formy publicystyczne i nie tylko publicystyczne, większą popularność, trafić do szerszego odbiorcy. A to bardzo istotne, bo przecież im większy zasięg oddziaływania, tym skuteczniejsze efekty, tym owocniejsza działalność kulturotwórcza pisma.

Natomiast jako reprezentant kulturalnych interesów województwa muszę stwier-

Co sądzą o nas Czytelnicy, pytaliśmy ich niejednokrotnie poprzez ankiety. Co sądzą o nas działacze kulturalni, pytamy czasem w rozmowach i dyskusjach. Co sądzą o nas władze kulturalne — o to zapytaliśmy dopiero z okazji dziesięciolecia „Odgłosów”. O rozmowę na temat: jak oceniają nasze pismo, jak pojmują funkcję tygodnika społeczno-kulturalnego i jakie widzą dlań perspektywy rozwoju — poprosiliśmy kierownika Wydziału Kultury RN m. Łodzi — Ryszarda Stefanki i kierownika Wydziału Kultury WRN — Bolesława Urbąńskiego.

burzenie. Dziś jednak Pan ma przywilej wypowiedzenia się bez sięgania po pióro.

— Muszę przyznać, że w zasadzie czytam każdy numer „Odgłosów” już od lat i że jedną rzecz bardzo mi się podoba, inne mniej, a inne wcale, ogólnie uważam je za pismo bardzo potrzebne, bardzo pożyteczne i bardzo wartościowe. Zresztą sam opublikowałem w nich parę pozycji, co jest najlepszym dowodem, że je cenię wysoko. Jak jednak powiedziałem, niektóre pozycje nie mi się podobają, mi się, a między nimi „Kronika Tygodnia”, pozbawiona chyba koncepcji.

Myślę, że dobrze byłoby, gdyby wśród materiałów typu literackiego znajdowały się fragmenty najbardziej typowe dla ducha książki, którą reprezentują, no i najbardziej korespondujące z rzeczywistością. Muszę też powiedzieć, że waszej uwadze umykają niektóre wydarzenia kulturalne w naszym mieście, niektórym poświęcając za mało miejsca. Dla przykładu wymienię festiwal lalkowy, który zasłużył na omówieniu. Moim zdaniem za mało miejsca poświęcając wyższemu uczelniom artystycznym, ich roli w tworzeniu kultury miasta, ich integracji czy też dezintegracji wśród łódzkich środowisk artystycznych. Myślę, że szerzej jeszcze niż dotychczas powinniście wychodzić do czytelników, poprzez bezpośrednie spotkania konfrontować swoje opinie o nich z ich opiniami o tym, co wy piszecie. Takie spotkania bardzo popularny pismo w społeczeństwie, a dla redakcji są często źródłem nowych, cennych materiałów.

Na „nie” można zawsze mówić wiele, bo najłatwiej jest, siedząc w fotelu, dawać dobre rady i wyliczać, co należy zrobić. Ale przecież doskonale zdaję sobie sprawę z trudności, z którymi się spotykacie w redagowaniu pisma, jeszcze raz podkreślam, pisma ambitnego i wartościowego. Więc redagujcie je dalej z najlepszymi efektami i sukcesami, a najgoręcej życzę wam zwiększe-

nić, że zajmujecie się nim zbyt rzadko i zbyt sporadycznie, że sprawia to wrażenie, iż problemy województwa są marginesem waszych zainteresowań. Na przestrzeni ostatnich paru lat znalazłem niewiele publikacji, o jakie nam chodzi, analitycznych, sięgających do źródeł omawiających zjawiska.

— Czy zdaniem Pana czytelnik wojewódzki wymaga innej tematyki i innego ujmowania zagadnień niż czytelnik łódzki?

— Nie bardziej błędnego niż takie mniemanie. Mówiąc o zbyt małej liczbie publikacji miałem na myśli problemy regionu, a nie pisanie „pod” czytelnika z województwa. Nasz czytelnik czuły się dyskryminowany takimi artykułami. Interesuje się on tymi samymi sprawami co czytelnik łódzki, choć gdzieś tam pokutuje jeszcze przekonanie o potrzebie innego pisania dla ludzi rozdzielonych granicami administracyjnymi. Mam w kraju wiele tygodników społeczno-kulturalnych, w tym również sporo adresowanych specjalnie do wsi i małych miasteczek. Nie mogę powiedzieć, by cieszyły się one jakimś szczególnym zainteresowaniem czy przywiązaniem. Czytelnik z tak zwanego terenu interesuje się specjalnie żywo właśnie tym, co się dzieje w centrum regionu, chce by pismo przyniosło mu wiadomości stamtąd, by omawiało je i komentowało. Te sprawy interesują go czasem bardziej niż sprawy własnego podwórka, które zna dokładnie i na co dzień. Ten czytelnik nie lubi też gładkich artykułów usianych infantylizmami w rodzaju zafascynowania widokiem wąskiego chłopa o spracowanych dloniach, zasiadającego wieczorem do powieści Sienkiewicza i zachwyty nad tym, że chłopek syn ma skuter. Takie naiwności jeszcze się zdarzają i drażnią, śmieszka wiejskiego czytelnika. Wiesz poszła dalej.

ko w procesie materialnej i kulturalnej integracji z miastem i o tym trzeba pamiętać.

Abstrahując od niewątpliwie istniejących różnic, można chyba stwierdzić ogólnie, że województwo, szczególnie w różnych dziedzinach życia kulturalnego, żyje podobnymi problemami i dąży do podobnych celów co centrum, tylko że ich rozwiązywanie i realizacja, ze względu na specyfikę terenu, natrafia na większe trudności.

— Jak więc widzi Pan rolę pisma naszego typu w dziele pokonywania tych trudności?

— Przede wszystkim poprzez częstsze publikacje, dotyczące spraw ważnych, zasadniczych. A jest ich wiele. Przecież w naszym województwie dzieją się rzeczy godne uwagi pisma i interesujące dla jego publicystów. Rzeczy ważne dla całokształtu życia kulturalnego bez rozbijania na kulturę centralną i powiatową. Tak samo jak w Łodzi, a nawet w większym jeszcze stopniu u nas, potrzebna jest wasza publicystyczna interwencja, wasza publicystyczna ocena gruntowna i głęboka podejmowanych akcji, eksperymentów, prób nowego sposobu szerzenia kultury i oświaty. Nie chodzi naturalnie o laurki chwalebne fakt, że powstają na wsiach kluby i kawiarnie na przykład, lecz o przeanalizowanie tego zjawiska, ocenę jego dobrych i złych stron.

Nie doczekała się dotychczas jakiegos pogłębionej analizy działalności zawodowych placówek artystycznych naszego województwa: Teatru Ziemi Łódzkiej, ciągle eksperymentującego teatru lalek „Pinokio”, czy wreszcie Estrady. Od czasu do czasu ukazuje się grzecznościowa wzmianka, dotyczy to zresztą również prasy codziennej, ale właśnie od was wymagamy więcej. Albo problemy jakże trudne do zorganizowania w terenie widowni, działalność uniwersytetów powszechnych, sprawy wychowania młodzieży i tak dalej, i dalej. Istnieje też ciągle niedosyt tematyki czytelniczej, potraktowanej problemowo, dyskusyjnej.

Właśnie wasze pismo jest najbardziej predestynowane do podejmowania takich trudnych tematów. Moglibyście nam pomóc na wielu odcinkach. Ot, dla przykładu. Bibliotekarze i inni organizatorzy życia kulturalno-oświatowego w terenie odczuwają braki w dziedzinie bibliografii łódzkich pisarzy. Dobrze byłoby, gdyby „Odgłosy”, publikując fragmenty prozy czy poezji autorów łódzkich, zamieszczały przy okazji notki bibliograficzne, krótkie informacje o dorobku literatów łódzkich i ich bieżącym warsztacie. Taka prezentacja łódzkich literatów, przy braku innych źródeł pisanych, byłaby wielką pomocą dla osób przygotowujących spotkania i dyskusje z autorami, a także dla nauczycieli szkół licealnych. Wydaje mi się, że „Odgłosy” w ogóle powinny być źródłem wiedzy o kulturze miasta i regionu, a roczniki pisma, kiedyś po latach, powinny stanowić kronikę kulturalną, z której będą mogli czerpać historycy.

Checmy widzieć w „Odgłosach” sojusznika w rozwiązywaniu trudnych problemów, chcemy, aby mieszkańcy województwa łódzkiego mogli powiedzieć, że „Odgłosy” są ich pismem.

Rozmowy przeprowadziła:

TERESA WOJCIECHOWSKA

Nożycami przez PRASĘ

KONTAKTY KULTURALNE

Wiemy, że stale się wzbogacają. Zarówno w sensie geograficznym, jak i merytorycznym. Próbkę ich podsumowania za rok ubiegły znajdujemy we „Współczesności”. Bogusław Płaza zaczyna od stwierdzeń ogólnych.

Udało nam się pogłębić już istniejące kontakty z większością krajów europejskich, wzbogacić formy współpracy, poszerzyć zainteresowanie obcych odbiorców osiągnięciami naszej sztuki i kultury; z drugiej zaś strony — wzmocnić ekspansywność polskiej kul-

tury w tych zakątkach świata, dokąd dotychczas albo wcale, albo tylko w minimalnym stopniu docierała. Jeżeli natomiast chodzi o kraje socjalistyczne, zauważamy również nowe elementy w naszej współpracy kulturalnej. Wzajemne konsultacje, dokonywanie głębszych niż dotąd analiz, uświadomienie sobie słabych punktów wymiany, poważna, szczerza dyskusja — wszystko to sprawiło, że udało się nam usunąć wiele istniejących jeszcze błędów.

Największą karierę robi muzyka. „Pasja” Krzysztofa

Pendereckiego doczekała się ponad 50 wykonan. Realizatorami tego utworu, jego partii solowych m. in. byli: Stefan Woytowicz, Andrzej Hiolski, Bernard Ładysz. Dyrygował, oczywiście, Henryk Czerny.

Inne sukcesy należą do Witolda Lutosławskiego, do Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Jana Krenza. Nasi muzycy grali zespołowo w Anglii, Austrii, Czechosłowacji, Jugosławii i w wielu in. krajach.

Plastycy brali udział w 41 międzynarodowych wystawach, zdobyli 20 nagród na wystawach i 3 na międzynarodowych konkursach.

Z imprez urządzanych u nas należą m. in. wymienić wystawę plakatu rewolucyjnego, w której brało udział 27 krajów.

Ponieważ we wszystkim biorą również udział buchaltery, nie od rzeczy będzie dodać, iż eksport i import w życiu artystycznym zamknął się nadwyzką, wynoszącą

prawie pół miliona złotych dewizowych.

CHODZI O ŁĄŻNIE

Przytaczaliśmy na tym miejscu uwagi z artykułu J. P. Gawlika („Życie Literackie”) na temat kultury życia codziennego. Tu sytuacja wygląda niezbyt różowo. Do artykułu dorzucił swój głos jeden z czytelników krakowskiego tygodnika.

Wystarczy przejechać tramwajem lub pociągiem, by przekonać się, że spostrzeżenia autora artykułu rozciągają się na znakomitą część współobywateli. Lekarze i pielęgniarki podczas przejazdu i badań w szpitalach mogą dostarczyć imponującej dokumentacji. Pół biedy w miastach, gdzie istnieją czyste i nowoczesne niedostateczne, łaźnie. Wielkie obszary wsi łona w brudzie, choć dziś jej mieszkańcy nie potrzebują już dzielić zapalki na czworo i oszczędzać na mydle.

Zlikwidowaliśmy analfabetyzm, postawiliśmy tysiące szkół na Tysiąclecie, tworzy-

my klubokawiarnie, by odzwyczaić od łożenia wody. Putrament podjął walkę z budkami z piwem w miastach i miasteczkach, może tak rzucić hasło: tysiąc łaźni na Tysiąclecie?

„Można powołać się na doświadczenia sąsiadów, na banie i saunę. Niech jakiś bu-downiczy opracuje dokumentację i wykalkuluje najtaniej taką wiejską instytucję — może przy ósrodku zdrowia? Jak dotąd nazbyt często dwukrotnie kąpią się na wsi: po urodzeniu i do ślubu.

MLENARSKI

Nie tak dawno Karol Bądział z „Dziennika Łódzkiego” protestował przeciwko „nadmiarowi” Młynarskiego. Twórczość Młynarskiego zasługuje jednak na uwagę także i ze względu na swoją polską specyfikę. Dość trafnie te specyfiki ujmują KTT, felietonista „Kultury”.

Nie mnie właściwie nie obchodzi czy Młynarski śpiewa dobrze czy źle i gdzie się angażuje, a gdzie nie. Wystarczy, że go ludzie słuchają,

bo ma coś do powiedzenia. Młynarski jest pisarzem obyczajowym, który jedyny chyba — nie uwielbiamy pisać — od książek — opisuje przedwzrosty stan obywatela polskiego w okresie, kiedy już właściwie wszystko jest jakby normalnie, ale jeszcze niezupełnie. Sa wezasy i dansing, ale jeszcze nie całkiem nowoczesnie została opowiadana sztuka mycia nóg; i jest liryzm, ale wymawia się go przez „y”, jak „liryzm”. I jest oczywiście, Dworzec Główny, a także. Wcale nie inny niż reszta, tylko właśnie taki sam. Młynarski — pro-sze się nie denerwować — jest pisarzem awansu społecznego. Jego obyczaj, przypominającego kwiatek do kożucha. Bardzo bystrym pisarzem.

Od siebie dorzucę, iż w naszym mniemaniu w TV prezentuje od czasu do czasu „człowieka z awansu kulturalnego” — ni to inteligenta, ni to półinteligenta, a zawsze robi to świetnie — Mieczysław Czechowicz.

JAN OLECHNO

O Odrośkach DOBRZE i ZŁE

Wiesław Jażdżyński

Z pierwszych dwóch lat istnienia „Odrośków” zapamiętałem sobie uczucie tremy. Pismo nie stanowiło odrębnego, samodzielnego tytułu, lecz było czymś w rodzaju niedzielnego dodatku naszego „Głosu Robotniczego”, szef organu partyjnego panował i nam — całkiem zresztą miłościwie. Pracowaliśmy trochę jak na cenzurowanym, no, bo gdybyśmy zupełnie poszkapili naszą pracę redakcyjną nigdy nie powstałby samodzielny tygodnik, a raczej powstałby bez nas. Stąd właśnie owo uczucie tremy, zwłaszcza iż mówiło się dość często w tamtych latach — nieważne kto pismo założy, ważne kto położy.

Zapamiętałem sobie także wielu zdolnych, pomysłówych i wiernych współpracowników, którym „Odrośki” zawdzięcza w dużej mierze swoje istnienie. Ta uwaga dotyczy również i redaktorów, z którymi miałem przyjemność pracować. Dawne to już lata i może właśnie duża przestrzeń czasu sprawia, że wydają mi się bujne, pełne energii, rumiane. Pismo opierało się głównie, choć nie jedynie, na publicystyce i reportażu. Pamiętam czołowe trio reporterskie z tamtych czasów — B.B.B. (Brycht, Badziak, Brysz) wzmacniane jeszcze jednym B. (Bąbel). Pamiętam niekiedy tasiemcowe dyskusje, które wywoływali oni i jeszcze inni, po których sypały się listy, pochwały, pogróżki. Zwłaszcza dyskusja o sytuacji na odcinku wychowania bułwersowała opinie tak dalece, że ożwiwiek po ukazaniu się numeru nie wiedział jakich stracił przyjaciół i jakich zyskał wrogów. Szczerze mówiąc, niejedną raz obrywałem wskutek temperamentnych wypowiedzi Chylińskiego — Belfra, Mariana Piechala, czy Władysława Rymkiewicza. Rzecz prosta strzeliliśmy niejedną gafę i niejedną nabołałą sprawę próbowaliśmy wspólnymi siłami rozwiązać.

Lecz daleko ważniejsze wydaje mi się samo spotkanie na łamach pisma dwóch podstawowych grup ludzi pióra — literatów i dziennikarzy, ich wspólny wysiłek nad ugruntowaniem społecznej roli pisma. Ten wysiłek ukoronowała książka, opisująca pierwsze piętnaście lat naszego miasta w Polsce Ludowej. Na jej łamach skrzyżowali pióra nasi i krajowi reporterzy, no i chyba nie ponieśliśmy porażki. To spotkanie, poszerzone i o inne środowiska, trwa po dzień dzisiejszy z mniejszym czy większym nasileniem, ale to już do wspomnień nie należy.

Może i to jeszcze można by zapisać na konto „Odrośków”, że były i chyba są wciąż nie najgorszym miejscem startu dla młodych poetów, prozaików, reportażystów, recenzentów.

Oczywiście, tak to już jest, że każdy zespół realizuje swoją koncepcję pisma, ale to nie znaczy, iżby nie mógł swoim następcom życzyć pomyślnych wiatrów.

Tadeusz Papier

Jakże pisać o „Odrośkach”? Pismo ukazuje się już jedenasty rok, zebrało się sporo materiału, aby można się pokusić o wnikliwą analizę. Ale ja chcę uchylić się od oceny. Zostawiam sobie tę sprawę na inny czas. Wątpię czy przy okazji jubileuszowych wspomnień znalazłoby się miejsce na kilka takich szerszych omówień. Wszak zabiera głos wielu redaktorów. I dlatego moje spojrzenie będzie bardzo osobiste.

Przez pierwsze pięć lat, a nawet nieco dłużej, aż do czasu zmiany warty redakcyjnej w „Odrośkach”, byłem sekretarzem redakcji. Nieobce mi były kłopoty i trudności związane z wychodzeniem pisma; przeżywałem porażki, jak i cieszyłem się z potknięcia. Były. A czy mieliśmy sukcesy? Na pewno. Wymieńmy chociażby (jedną z wielu inicjatyw) — akcję reportażową, w wyniku której narodziła się bardzo interesująca książka o Łodzi „Ucieczka przedmieścia”. Jej autorami są najwybitniejsi reportażysty Polski (w tym również i łódzianie), którzy najpierw drukowali swoje prace na łamach „Odrośków”. Zresztą w tym okresie na łamach pisma zrodziła się niejedna książka reportażowa i beletrystyczna. Powstał niejedyn debiut poetycki.

Ta służba w „Odrośkach” stanowi w moim życiorysie ważny fragment. Ale ten fragment, który można zatytułować „Odrośki”, zaczął się na wiele lat przedtem, zanim ukazał się pierwszy numer „Odrośków” w oszatkująco wielkim nakładzie 40 tysięcy egzemplarzy (nawiasem mówiąc nie rozkupionych). Historia zaczęła się w lutym 45 roku, kiedy samochody „Czytelniczka” przywoziły nas z Lublina do Łodzi. Pracowałem wówczas w tygodniku „Wies”. Ten sam zespół redagował w pierwszych miesiącach 45 roku także tygodnik „Chłopi” i „Zielony Sztandar”. Te pisma zostały wkrótce przekazane innemu redakcyjnemu, a my zostaliśmy przy „Wsi”. O „Wsi” pisano nieraz, najobszerniej w założeniu była pismem ogólnopolskim, przeznaczonym dla inteligencji pracującej w terenie. Ale z każdym numerem stawała się coraz bardziej pismem służącym środowisku łódzkiemu. Zamieszczali w niej swo-

Od Redakcji: Redaktorzy przychodzą i odchodzą, a „Odrośki” pozostają. Obecna redakcja pisma zwróciła się do poprzedniego zespołu z prośbą o wypowiedzi, które zamieszczamy poniżej. Jak Czytelnicy łatwo zauważą, pierwsi „Odrośków” redaktorzy, są z siebie raczej zadowoleni. My także.

Je prace pisarzy, naukowcy, dziennikarze i plastycy z Łodzi, pismo służyło łódzkiemu środowiskom twórczym i naukowym. Późniejsi redaktorzy „Kroniki” i „Odrośków”, a także współpracownicy tych pism, wywodzili się z grona redakcyjnego „Wsi”. We „Wsi” rodziła się koncepcja pisma, które by było przeznaczone dla terenu, a jednocześnie nie traciło znaczenia ogólnopolskiego. Wydaje mi się, że tych doświadczeń nie można dzisiaj pomijać. W jakiejś mierze tamte doświadczenia odbijały się i w „Odrośkach”.

Moja wypowiedź, jak zaznaczyłem, nie jest próbą oceny. Cieszę się, że pismo żyje; jako tygodnik najdłuższy ze wszystkich tytułów tego rodzaju ukazujących się przedtem w Łodzi. Oby żyło i rozwijało się nadal. Dzisiaj ze wzruszeniem biorę delegację służbową, podpisaną przez Jerzego Borejszę w Lublinie, wypełnioną w języku polskim i rosyjskim (była jeszcze wojna), zezwalającą na przejazd z Lublina do Łodzi. Na tej lubelskiej delegacji widnieje także poświadczenie „Odrośków”.

Jarosław Marek Rymkiewicz

Kiedy zacząłem pracować w „Odrośkach”, to gątkiem wiedzącym były tu komiksowe obrazkowe. Na jednej kolumnie komiks, na drugiej powieść w odcinkach, na innych szezka dziennikarska, owe, tak ukołchane przez Czytelników „michalki”. Przez sześć lat, kiedy to współredagowałem „Odrośki”, tygodnik łódzki spowaźniał. Ja, ze swojej strony, robiłem wszystko, aby zmniejszyć nakład czasopisma. A więc — prowadząc tak zwany dział kulturalny — najwięcej uwagi i troski poświęcałem poezji. Biłem się o miejsce dla wierszy, drukowałem masowo młodych, i nie tylko młodych, poetów. Pismo było redagowane w ciągłym napięciu. Jażdżyński — trudno mu się dziwić — marzył o wielkich nakładach, o szerokiej rzeszy czytelników, toteż, chociaż miał dobre chęci, traktował mnie i moje poetyckie ambicje jako uciążliwą konieczność. Zawsze chciałem, żeby to było pismo literackie, bo zawsze wierzyłem, że Łódź stać na taki periodyk. Była „Łódź Literacka”, była „Kronika”, dlategoż więc „Odrośki” nie miałyby przejąć ich tradycji. Parłem do tego, wiedząc, że wyrzadzam Jażdżyńskiemu i innym redaktorom niedźwiedzią przysługę. Rzecz jasna — nie wygrałem tej wojny. Dlatego też mój sentyment dla „Odrośków” — tych starszych, redagowanych przez Jażdżyńskiego, i tych nowych, które prowadzi Biliński — zaprawiony jest gorczyzłą. Ciągłe jeszcze, mimo dojrzałego wieku i niewątpliwiej grawitacji w kierunku zagadnień kulturalnych, „Odrośki” nie są pismem literackim, ciągle jeszcze z trudem wychodzą poza obręb Łodzi i województwa. W Warszawie są za ledwie cztery kioski w śródmieściu, gdzie można kupić „Odrośki”. Marna to szansa na choćby częściową prezentację osiągnięć łódzkich pisarzy.

Zbigniew Nienacki

W „Odrośkach” od początku ich powstania prowadziłem dział reportażu, a potem również dział filmowy. Obydwa te działy miały swoje blaski i cienie — jak i całe pismo — tym niemniej na korzyść swojej kadencji redakcyjnej zapisałem muszę fakt, że współpracowało z nami wielu znanych autorów, nie tylko z Łodzi, ale z całej Polski. Owocem tej współpracy był tom reportażu „Ucieczka przedmieścia”, wydany przez WL, i będący socjologicznym i dobrze udokumentowanym opisem naszego miasta. Boleję nad tym, że obecnie chłuba „Odrośków”, reportaż, przechodził kryzys. Być może usprawiedliwia to częściowo ogólna sytuacja kryzysowa w polskim reportażu.

Jeśli chodzi o dział filmowy, to był on w „Odrośkach” szeroko rozbudowany. I chyba słusznie, jako że Łódź była i jest centrum kinematografii polskiej. Przewyższaliśmy inne pisma tym, że mieliśmy informacje o wydarzeniach filmowych z pierwszej ręki. Często „Odrośki” były źródłem nowin filmowych dla innych gazet i tygodników.

W późniejszym okresie przypadł mi w udziale zaszczyt kierowania działem „kobiecy” „Odrośków”. Wyszukiwałem nowe talenty i tak się składało, że były to młode i ładne panie. Będąc wielbicielem pisarstwa Dąbrowskiej i Nałkowskiej, zawsze pragnąłem aby Łódź wydała także jakąś wierną sobie i uodolnioną pisarkę. Stawiałem w tym wypadku na Ewę Ostrowską, która drukowała w „Odrośkach” swoje reportaże. Myślałem, że Ostrowska spełniła nadzieję, jaką w niej pokładałem; tak samo zresztą sprawdziła się w dziedzinie krytyki filmowej Maria Kornatowska, której kiedyś musiałem wmawiać, że ma w tym kierunku duże uodolnienie, i która na szczęście uwierzyła moim sugestiom.

Uważam, że popieranie młodych talentów jest najpierwszym obowiązkiem redaktora. Popierałem więc uodolnione dziewczęta. A złościwości z tej okazji słyszanych, nigdy zbyt poważnie nie brałem do serca.

Zbigniew Chyliński

Na łamach „Odrośków”, już od samego początku, spotykały się dwa środowiska piszące: literaci i dziennikarze. Powiedzmy szczerze — stosunki pomiędzy tymi środowiskami nigdy, i chyba w żadnym mieście Polski, nie były idylliczne. Dlatego cenna wydaje mi się próba integracji literatów i pisarzy w „Odrośkach”. Pięćosobowa redakcja, która dziesięć lat temu wydała pierwszy numer „Odrośków”, składała się z trzech literatów i dwu dziennikarzy. Myślę, że był to skład szczęśliwy. Dzięki temu panowała w piśmie atmosfera będąca zaprzeczeniem spokoju i szczęśliwej stagnacji (która — moim zdaniem — byłaby grobem dla pisma). Spory zaczęły się już w chwili, kiedy trzeba było zdecydować się na tytuł dla czasopisma. Byłem przeciwnikiem: „Odrośków”. Chciałem, aby nazywało się to: „Co słychać?”, nasze narodowe zawołanie, a co za tym idzie: marzyłem o tygodniku regionalnym, informacyjnym, typowo łódzkim, o wielkim nakładzie, który zrywałby z tradycjami elitarnych pism literackich, i szukał czytelników we wszystkich, jakże ciekawych, makrośrodkach naszego miasta, aby penetrował te środowiska poprzez rzetelną informację, publicystykę i reportaże, a także poprzez poezję i prozę.

Spory o tytuł i profil pisma były tak zaciekle, tak pochłaniające nasz czas i energię, że kiedy wreszcie przyszło wydać pierwszy numer — zabrakło nam rzeczy najważniejszej: dobrych materiałów. To było zapewne powodem, że pierwsze numery „Odrośków” nie przyniosły nam oczekiwanych sukcesów. Ale z tygodnia na tydzień pismo dojrzało, i dziś, nie bez satysfakcji wspominam szeroko zakrojone akcje naszych reporterów i publicystów, akcje podejmujące nierazko drażliwą problematykę społeczną — piekło kobiet pracujących, kwestię trzeciej zmiany, sprawy modernizacji i mechanizacji życia domowego, zagadnienia przemysłu łódzkiego i nowej polityki mieszkaniowej. Pamiętam, że w otwartym konkursie na wypowiedź czytelników o budownictwie spółdzielczym, które w tamtych czasach stawało dopiero pierwsze nieśmiałe kroki (powiedzmy: domy) pierwszą nagrodą było... mieszkanie. — Niełatwo przyszło nam przekonać czytelników do stosowności tej nagrody. Niemniej słowa dotrzymaliśmy i po niemałych tarapatach zwycięzca konkursu dostał dwa pokoje w nowym budownictwie. W porę dostrzegaliśmy wschodzącą gwiazdę telewizji i wspieraliśmy ją cotygodniową kolumną telewizyjną. Prowadziliśmy kursy języków obcych nim jeszcze „Polityka” wystąpiła z hasłem: „Obywatele, nie jakać się!”... Rekapitulując: uważam swój pięcioletni staż w „Odrośkach” za pożyteczny i owocny okres w mojej dziennikarskiej biografii.

Halina Bekowa

10 lat „Odrośków” to 520 numerów, 5200 kolumn, ok. 52.000 stron maszynopisu... Przez taki przyzmat redaktor techniczny patrzy na jubileusz pisma. Co kryją te liczby — ten tylko wie, kto choć raz podpatrywał narodziny numeru. Najpierw długie dysputy, co gdzie umieścić, potem kłótnie niemal o każdy wiersz, potem pospiech w drukarni i surowa ostateczna ocena stron przez Naczelnego. Muszę przyznać, iż tej ostatniej najbardziej się zawsze boję. Naczelnik mają to do siebie, że najchętniej zmieniają właśnie w końcowej fazie produkcji.

Ale kiedy numer jest już w kioskach, kiedy biorą go do ręki Czytelnicy — również redaktor techniczny przeżywa chwile emocji. Od szaty graficznej pisma zależy bowiem także, czy będzie się ono podobało Czytelnikowi. Dziś łamane jest bardziej spokojne niż dawniej. Można powiedzieć — bardziej dostojne. Przy okazji warto zwrócić uwagę, że „Odrośki” są bodaj jedynym pismem zamieszczającym akty...

Co daje technicznemu największą satysfakcję? Zwierzę się: takie skrócenie autorowi artykułu, aby sam nie zorientował się, co z tekstu wypadło. Z reguły bowiem każdy autor uważa, że nie a nie nie można uszczknąć z jego materiału. Co jednak zrobić, kiedy się nie mieści? Skracam w ciągu minionych lat tegie nazwiska. Czasem przechodziło to cicho, czasem nie obeszło się — nazwijmy to delikatnie — bez ostrzejszej wymiany poglądów. Taki już los redaktora technicznego.

Najbardziej nieprzyjemny dzień w mojej pracy był przed laty, kiedy goniec, chłopiec, zgubił wszystkie materiały, które niósł z redakcji do składu. Do dziś nie wiadomo, co się z nimi stało. Jedno jest pewne: goniec, to bardzo ważna osoba łącząca drukarnię z redakcją!

Błędy i chochliki drukarskie? Były, są i zapewne będą. Ale w jakim piśmie ich nie ma? Mamy tylko jedną korektorkę, Celinę Paluchową, i muszę powiedzieć, że jestem pełna podziwu dla jej sumienności i uwagi.

Największe kłopoty? No cóż — baza poligraficzna. Nie pozwala ona na dorównanie szaty graficznej niektórym pismom. Ale bądźmy cierpliwi — w 1972 roku ruszy wspaniały kombinat wydawniczy w Łodzi. Wtedy... Cieszę się na myśl, jakie pole do popisu będzie miał wtedy redaktor techniczny.

Bronisław Banasiak

Przez sześć lat łamał ofiarne „Odrośki” i czasy te wspomina z sympatią. — W pierwszych latach „Odrośków” więcej było chaosu i improwizacji niż rzetelnej pracy. Trudno się temu dziwić. W zasadzie żaden z dyktujących w drukarni redaktorów nie znał się na naszej robocie; nikt nie wiedział dobrze, czego chce, co jest możliwe, a co w warunkach naszych nieosiągalne. Materiały przychodziły późno, nieraz w ostatniej chwili, tak że niejednokrotnie zmuszony byłem łamać po godzinach, wieczorami albo i w nocy.

Ale każdy chyba drukarz przeżywa w swojej pracy takie niespodzianki. I każdy, kto raz stanął przy kasie drukarskiej, zaraził się do niej miłością.

Z początku nie wiedziałem, nie rozumiałem na czym ta miłość polega. Teraz wiem. My zecerzy, nie pracujemy monotonnie. Każdy numer pisma niesie coś innego — nie tylko w treści, także w rozwiązaniach graficznych, w przeróżnych układach kolumn; już samo czyste i staranne złożenie tytułu może dać wielką satysfakcję. To jest robota twórcza, a owoce tej roboty zacieśniają i zdumiewają często nawet ich autorów: towarzysza sztuki drukarskiej. SZTUKI!

TERESA
WOJCIECHOWSKA

Nasze mieszkanie

Szereg jednakowych bloków, ustawionych bokiem do ulicy, patrzy na siebie dziesiątkami okien-nych oczu. Teraz, wieczorem, przysłonięte są zastonami. Kryją przed natrętną ciekawością obcych swe wnętrza, to co jest w nich intymnego, osobistego, co różni między sobą jednakowo standardowe klatki bloków. Wdzieranie się w te intymność, odsłanianie jej, pokazywanie innym jest niedyskrecja, ma w sobie zawsze coś brutalnego. A ja właśnie po to szukam rodziny Kubików. Żeby zobaczyć jak żyją, jak toczą się ich losy. Czy moja ciekawość usprawiedliwia fakt, że kilka lat temu Jerzy Kubik, dzięki „Odgłosom” otrzymał mieszkanie, w którym dziś mam go odwiedzić?

Działo się to dziewięć lat temu. „Odgłosy” zorganizowały konkurs „Wszystko o mieszkaniu”, w którym główną nagrodą był właśnie przydział mieszkania w nowych blokach. Zwycięzca konkursu został Jerzy Kubik. Z tamtego zespołu redakcyjnego nie pozostał w „Odgłosach” już nikt, ale choć pracują gdzie indziej, pamiętają ten konkurs jako największy swój sukces, uważają go za jedno z najtrwalszych, a niektórzy za jedyne trwałe osiągnięcie w pracy redakcyjnej tamtego okresu. W redakcyjnym archiwum pozostała teuszka z aktami, pieczętówkami przechowywana przez panią Marię Cedrowską, która brała czynny udział w organizowaniu konkursu. Teuszka jest pękata, pełna w niej dokumentów, protokołów, ankiet i danych osobowych uczestników konkursu, nie ma tylko jednego: adresu Kubików. Jest też w „Odgłosach” z tamtego okresu reportaż z przeprowadzonej sześciu tygodni rodzin. Nosi tytuł „Toast w szklankach po musztardzie”. Ale adresu również w nim nie ma.

Muszę korzystać z pomocy biura ewidencyjnego ludności. Otrzymuję dziwny adres: Gdańska 7. m. 8. Dziwny, bo wiem, że nowe mieszkanie Kubików było na Żubardziu. Ale jadę na Gdańską. Stara kamienica, ósmego numeru mieszkania w ogóle nie ma. Dozorczyni patrzy podejrzliwie. Kubik? Nigdy tu taki nie mieszkał. Ja też robię się podejrzliwa. Zaczynam węszyć sensację. Kubikowie wprowadzili władzę w błąd. Podali fałszywy adres, załatwi za sobą ślady, zniknęli w sposób tajemniczy. Eh, ta wyobraź-

nia. Kubik pracuje tam, gdzie dziewięć lat temu i tam podali mi jego adres. To był właśnie TEN adres.

Rodzinę Kubików znam tylko z ankiet, które zachowały się w pe- katej teuszce i ze zdjęć reprodukowa- nych w „Odgłosach”. Wiem, że do dnia 13 lipca 1959 roku Jerzy Kubik wraz z żoną Wacławą i czworgiem dzieci: 9-letnią Janiną, 7-letnim Krzysztofem, 4-letnią Bar- barą i 8-miesięcznym Andrzejem zajmował jednoizbowe mieszkanie o powierzchni 24 metrów kwadratowych, wilgotne, bez wody bieżącej, łazienki, ubikacji, gazu, piekarni- czy komórki na ziemniaki, które zma- przechowywano z konieczności w tej jednej łazience. 13 lipca przeprowadzili się do dwupokojowego mieszkania w nowych blo- kach na Żubardziu. Tylko tyle.

To już to drzwi. Pukaniu towa- rzyszy przeraźliwy psi jasek. Drzwi otwiera młody z piegawymi nośkami. Nauczycielka się całej ro- dziny na pamięć z akt, więc wiem, że to Andrzej, który wówczas miał osiem miesięcy. Przegląda mi się z zaciekawieniem. Rodzice w do- mu, oczywiście. Witamy się z pew- nym zażenowaniem. Ja z powodu swojej misji, oni pewnie czują się trochę jak przed egzaminem. Sytuację rozładowuje pani Wacława sposobem typowo kobiecym. Nakry- wa do stołu. Protestuję bezskutecz- nie. „Taki gość raz na dziesięć lat musi się napić kawę. Zresztą rzad- ko kto do nas przychodził, dawni sąsiedzi jeszcze nie darowali nam tego mieszkania, chociaż stamtąd wszyscy się już wyprowadzili, a tu wszyscy są zaledwie swoimi sąsiedzi- mi. A i my najchętniej siedzimy w domu. Mał jest domatorem, ja też, dobrze nam tutaj”. Gospodyni sięga po szklanki i wychodzi do kuchni.

Z tymi szklankami po musztar- dzie to wcale tak nie było — mówi Kubik — wszystkie szklan- ki były normalne, jak te co pani widzi, tylko w przeprowadzce po- magali nam koledzy z pracy, było nas dużo i zabrakło jednej szklan- ki. A ten wasz dziennikarz wypa- trzył ją i napisał, że pilśniemy w musztardówkach.

Widocznie pasowało mu do koncepcji, dobry tytuł z tego wyszedł — tłumaczy metnle, bo wiem, że jak się coś dziewięć lat pamię- ta, to znaczy, że trochę dotknęło.

Kubikowa stawia na stole cia-

sto, podaje kawę. Przegląda mi się jej nieco zaskoczona. Wygląda dziś znacznie młodziej i ładniej, niż na zdjęciach sprzed dziewięciu lat. Po- godna, uśmiechnięta, życzliwie na- stawiona do świata.

— Pani chyba lepiej wygląda, niż dawniej — mówię ostrożnie.

— Nawet nie chcę się przyzna- wać ile przybyło mi na wadze od tamtego czasu. Pewnie dlatego, że życie się dla mnie odmieniło. Inne warunki, to i spoki, i wygoda, i zdrowie lepsze. No i dzieci podro- sły, więc mogłam iść do pracy. Chociaż z zawodu jestem włóknia- rka, ale dostałam pracę w szkole, wygodnie, bliźniętko, w razie czego można do domu nawet zaizreć.

Przypominam sobie, że pani Wa- cława martwiła się wówczas, jak to będzie ze szkoła dla dzieci. Dziś nie ma o to kłopotu. Szkoły są aż dwie i to w pobliżu. Żeby tylko dzie- ciaki chciały się uczyć.

Rozglądam się po mieszkaniu. Czyściutkie, przytulne, w każdym drobiazgu widać gospodarską reke. Ale tamten pierwszy okres wcale nie był taki łatwy: Trzeba było ołazić kaucję, urządzenia sanitar- ne, pomyśleć o umeblowaniu, przy- jeżdżali tu przecież tylko z baro- ma niezbędnymi meblami zabranymi z tamtego mieszkania. To wszyst- ko wymagało pieniędzy. Pan Jerzy musiał pomyśleć o dodatkowej pra- cy. Dziś te kłopoty są już poza nim. W mieszkaniu jest wszystko co trzeba, z telewizorem włącznie. Teraz myśla o lodówce, no, a jak dalej dobrze pójdzie, to do pokoju przydadły się dywan.

— A jak samo mieszkanie, były usterki?

— Sa szary — mówi pan Ku- bik — pod oknem, drzwi się pozys- chały, w sypialni pod oknem i przy balkonie.

— Nie opowiadaj — obrusza się żona — podłoga ładna, sąsiedzi wymieniali parkiet, a u nas nie po- trzeba. Niech pani obejrzy, przecież pani nie zna naszego mieszkania.

Oglądam, rzeczywiście, wcale nie najgorzej, sama mieszkam w blo- kach. Ale gospodarz jest pracow-nikiem budowlanym, więc raz go wszystkie, nawet najdrobniejsze usterki. Przecież w gruncie rzeczy on jest zadowolony. Jest od daw- na fotomatem, tu znalazł o- mieszczenie na ciele, sam wy- woluje zdjęcia.

Andrzej, który znalazł się już przysłuchiwanemu rozmowie i sie- dzeniem bez ruchu, zaczyna ilustro- wać naszą konwersację. Wciąga albumy ze zdjęciami oia, starannie posegregowanymi i opisanyymi. Ol- brzymie akwarium pod oknem, z mpuśtwem kolorowych rybek to też cmentarz pana domu.

— Sam muszę o nie dbać i da- wać jeść, dzieciaki, tylko psem się interesuję.

Pies jest dupim dzieć, widać to po jego tuszu. Ma swoją historię. Mama, nie opowiadaj — woła An- drzej. Widać nie ma zaufania do dziennikarskiej dyskrekcji. Skąd u dziecka taka intuicja? Pies zamo-

rzony głodem włóczył się po targo- wisku w poszukiwaniu odpadków. Uciekał od właścicieli-alkoholiz- ki, która najczęściej częstowała go razami. Przyplątał się kiedyś do pani Wacławy, która właśnie my- ślała o kupieniu psa dzieciom i — nie chciał już odejść. Tylko panu nie przypadł do gustu, za duży był i za czarny. Ale jakoś się w koń- cu pogodzili. To znaczy pan usta- nił psu, albo raczej dzieciom.

Dziewięć lat, to kawał czasu. Nie zostawia śladów na twarzach ro- dziców, ale dzieci rosną bez litości. Janka, ta która była wówczas w trzeciej klasie, skończyła szkołę podstawową, teraz pracuje. Oleciec kiwa głową. Nie paliła się do nau- ki, niech ten rok popracuje, a w przyszłym trzeba pomyśleć o szko- le zawodowej. Andrzej wyciąga z szuflady jakieś zeszyty Janki. Czy- ciutko, starannie wykaligrafowane teksty piosenek, powieści, dzieła aktorów, piosenkarzy. Potem oglą- dam dyplom za zdobycie drugiego miejsca w biegu płaskim na 100 metrów. Matka się śmieje. Do tego to ona jest pierwsza, tańczyć, śpie- wać to jej marzenie. Chciała się zapisać do jakiegoś zespołu, ale jej nie pozwolili, będzie późno wracać do domu, a ojciec tego nie lubi.

Ojciec potakuje. — Dziś dzieci nie garną się do nauki. Za dobrze mają, o nie się nie musza starać, wszystko przy- chodzi samo, za łatwo. Ja musia- łem zdawać egzamin konkursowy do gimnazjum, a ojciec jeszcze pla- cił wpisowe. Spróbowałbym nie zdać!

Krzyszto zaczął chodzić do szkoły już na nowym mieszkaniu. Teraz jest w ósmej klasie i trzeba po-

myśleć co z nim dalej. Chce iść na ślusarkę, ojciec by wolał, żeby jak on, pracował w budownictwie. Ale niech próbuje jak chce. Basia jest w piątej klasie, jeszcze czas, żeby się o nią martwić. O Maćka tym bardziej. Andrzej w domu na- zywany jest Maćkiem. A w szkole Partyzantem. Dlaczego? Marszczy nos i mówi, że nie wie.

— Przyznaj się, że lubisz bawić się w wojsko i strzelać z karabinu — podpowiada matka. Andrzej-Ma- ciek-Partyzant, nie wiem dlate- go, nie ma ochoty przyznać się do swoich wojennych upodobań. Widać ten brak zaufania do prasy. Ale za to pokazuje mi swoje zeszyty uczy- ciwie, także te z nie najlepszymi stoniami, co rehabilituje go w moich oczach.

Wyrosły przez te lata dzieci, wy- rosło osiedle, w którym mieszkają. Kiedy się wprowadzali było tu kilka bloków i masa błota. Dziś Osiedle Piętnastoletnia przemieniło się w wielką dzielnicę, ale oni uważają, że i tak u nich jest naj- ładniej, najprzyjemniej. Narzekają na dzieci, ale to raczej dla po- rzadku, dla utrzymania karności. W gruncie rzeczy są z nich dum- ni, wychowanie tej czwórki jest ich największą troską.

Czas kończyć tę niedyskretną wi- zję. Było w naszych jubileuszowych intencjach coś z chęci pochwa- lenia się, pokazania, że dzieci nam jedna łódka rodziną mieszka w dobrych warunkach. Ale to chyba nie jest tak. To tylko ich zasła- ga, że umieli wykorzystywać uśmiech losu dla urządzenia sobie lepszego życia, że nie zmarnowali szansy. To nasza wygrana, że mieszkani- e dostali ludzie, którzy są tego na- prawdę warci.



Wojciech Plewiński. — Narzeczeni.

"BŁĘDY i WYBA- CZENIA"

Spełniło się nam właśnie dziesięć lat. W takim wieku człowiek jest ledwie berbeciem, o tygodniku po- wiada się jednak, że ma już biogra- fii. Sięgamy więc do rodzinnych kro- nik, aby w przykurzonych zszywkach „Odgłosów” poszukać wzruszeń, któ- re może i Ty dzieliłeś z nami. Czy- telniku, w ciągu długich lat naszej przyjaźni.

odgłosy

ROK
1958

Najpierw był konkurs-ankieta na tytuł „nowego tygodnika łódzkiego”, jak pisała prasa, gdy już postanowiono nasze poczę- cie. Wpłynęło 3856 odpowiedzi. Zdecydo- wała większość głosów, bo aż 2741, zyskał sobie tytuł „Odgłosy”. W ten sposób na- dano nam imię, które cierpliwie nosimy do dziś.

Potem nastąpił właściwy poród. Przecią- gnął się nieco, bo pierwszy numer gazety ukazał się wioskach dopiero drugiego marca. Kłopotował czytelników krymina- lem pod jednoznaczny tytułem „Zabójstwo He- rakliusa Pronobisa” oraz przewidzianym także na wiele odcinków reporta-żem „Czło- wiek o 20 twarzach”. Ten ostatni tytuł mi-

mo woli określał jednocześnie charakter wierzących jeszcze w pieluszkach „Odgłosów”. Przez 10 miesięcy, w 44 numerach, niemowlak obnażał się cechy swojej na- tury. Prawdziwy „Ogród nie plewio- ny”, w którym słychać tylko „Gadki- szmaki”, albo „Golono-strzyżono”, albo wreszcie zgiełk „Lunaparku”. To oryginal- ne tytuły statych pozycji, w które prze- wijany był niesforny osesek. Zanim jesz- cze Herakliusz Pronobis dokonał swego ży- czenia na łamach „Odgłosów”, w tygodni- ku pojawia się nowa powieść, odcinkowa i sensacyjna, a przy tym przebogata ilu- strowana. Rysunki były tak dobre, że z po- wodzeniem można było zrezygnować z czy- tania samej książki. Sprawy ziemskie za- łączał cykl „Tajniki wywiadów, gabinetów i wydarzeń XX wieku” ilustrowany już tylko mapkami archipelagów, krajów czy kontynentów. Tej działalności pedagogicz- nej towarzyszą nauki udzielane w cyklu fe- lietonów „Nasza szkółka” przez Belfra o długiej brodzie.

„Myśmy płakali nad pierwszymi nume- ram „Odgłosów”, sądziliśmy nawet, że pi- smo urodziło się pod nieszczęśliwą gwiazdą” — jak zawsze serdecznie zwierzył się ze swych kłopotów W. Jazdżyński, ówczesny naczelny, na spotkaniu redaktorów z Czy- telnikami. Wyjaśnił też, że „ludzie, którzy czytają „Odgłosy” nie mają za dużo pie- niędzy”. To było bardzo sympatyczne, gdyż tygodnik także nie opływał w dostatki. Chytrze podniósł to w dyskusji pan, który przedstawił się jako przedwojenny inżynier: „Chciałbym, aby wasze pismo było takim, do którego ma się zaufanie. Tylko, że na to trzeba odważyć, której znowu panom redaktorom brak”.

odgłosy

ROK
1959

Drugi rok istnienia, to zobowiązuje. „Czy „Odgłosy” pana bawia? Uczą? Podtrzymu- ją na duchu?” zwracamy się w specjalnej ankiecie do łódzkich satyryków. „Uczą mnie odważyć — odpowiada T. Giegier. — No, no, zdecydować się wychodzić w Łodzi”. T. Shi- pecki zresztą manewruje między skrajnoś- ciami: „Bawią mnie w „Odgłosach” arty- kuły poważne, podtrzymują na duchu kon-

kursy z nagrodami, a poucza „Sennik egip- ski”. Tak, snów lekceważyć nie wolno. W „Odgłosach” pojawia się zapowiedź: „MI- ŁOŚCI FANTAZJA! WSTRZĄSAJĄCE PRZYGODY W KOSMOSIE — oto co znaj- dziecie w powieści Jędrzeusza „Młgławica Andromedy” napisanej w oparciu o najnowo- cześniejsze zdobycze wiedzy astronautycznej. Potem pozwalamy Wam śnić „Skarb na Obe- ronie” i „Pewnego razu na Merkury”. Dajemy do oglądania rysunkową powieść „Pustynne szczyty” i do czytania „V Ko- lumne”. Z krainy snów pochodzą także „Ka- ciki czterech kółek”. Prozę życia załatwia- ją reportaże Giełżyńskiego i Drozdowskiego. Dostępujemy też palenia na stosie — K. Frej- dlich i M. Regel piszą reportaż „W Chan- drze Bystrzyckiej” o życiu w domach aka- demickich. Studenci zlorzeczają.

Ale my mamy inne kłopoty: fundujemy mieszkanie. „Czytelnicy nie zlorzeczali jak co tydzień redaktorom, jako że pośród roz- maitych „chał” znaleźli zawsze kupon kon- kursowy będący jakimś pocieszeniem i na- grodą” — oznajmia Z. Chyliński podsu- mowując naszą akcję „Wszystko o miesz- kaniach”. Ale do rozlosowania jest tylko jedno dwupokojowe mieszkanie sprento- wane przez Ojców Miasta dla czytelnika, który okaże się największą ilością konkur- sowych kuponów i największą ilością dzie- ci. Odpowiedzi wpływa 200. Szczęście uś- miechnęło się do Jerzego Kubika, któremu w przeprowadzce do bloku na Osiedlu XV- lecia towarzyszy reporter „Odgłosów”. Do nas uśmiechają się tylko „Mieszani” Ja- na Huszczy. Towarzyszą nam przez cały rok z następującą obietnicą: „Wróć do Cie- twój jedyny, gdy mu pošlesz „Mieszani”.

odgłosy

ROK
1960

Wykrywamy błąd w dwóch z czterech kon- kursów świątecznych i psujemy sobie hu- mor dodatkowo jubileuszem z okazji 99 nu- meru.

Co będzie po pierwszym jubileuszu przepowiada W. Jazdżyński: „Niechże nam wierzą nasi wierni przyjaciele, że nie po-

rzucimy ich na rzecz bardzo już trudnej i wysublimowanej problematyki.” I dalej serdeczne wyzwanie: „Odgłosy” są pismem takim sobie, raczej skromnym.”

Skromność może być cnotą, oto więc przy- kład skromnej reklamy z tamtych miodem i mlekiem płynących czasów: „Okolica starszego kolegi” — Romans z cyklu MŁODOŚCI MIŁOŚCI AWANTURY! Romanse są u nas w modzie, wcześniej więc drukujemy powieść Wł. Rymkiewi- cza „Romans królewski”.

W ogóle wiele zajmujemy się literaturą, „Belfer” posyła G. Timofiejewa do kolejki po cytyny uważając, że to dla czło- wieka pióra zajęcie właściwsze niż pisanie książek. Potem „Belfer” dalej zajmuje się literaturą poświęcając jej felieton „Zdrowe jądro pani Mniszek”, gdzie jakby wynika- ło z tytułu, jądro myli mu się z jajnikiem, czego przeżyć nie może, kończy więc ży- wot ze wstydu w 131 numerze. G. Timo- fiejew zaś, który nie posłuchał rady zae- nego „Belfra”, drukuje fragmenty swojej nowej powieści „Człowiek jest nagi”.

Nas interesuje jednak raczej naga mło- dzież. Stawiamy na młodzież. Rozpętlujemy dyskusję o młodzieży, oddając swoje łamy sprawom deprawacji, występkowi i zbrodni. Wypowiadają się ekspresyjnie reporterzy i impresyjnie pedagodzy. Wreszcie, w podsu- mowaniu, groźnie zapyta Z. Chyliński: „Pa- nie, panowie o co chodzi?”

Pyta, jak przystało na laureata nagród „Odgłosów” ufundowanych z okazji jubi- leuszu. Na liście tej znajduje się także B. Sztajnert, Z. Fijas, J. Koprowski oraz A. Brycht, który na rowerze wyrusza w Pol- skę, wraca zaś na zegarku z cyklem repor- taży „Województwo najbliższe”.

odgłosy

ROK
1961

Rok podwójnie pechowy, dwa jubileusze. Pierwszy zapowiada „Mowa z okazji wyz- wolenia i jubileuszu” W. Jazdżyńskiego.

Dalszy ciąg na str. 6



Zofia Rydet. — Oczekiwanie.

REPORTAŻ PODWÓJNIE INTYMNY

KONRAD FREJDLICH

WŁÓCZĘDZY KUPUJĄ WILLE

Kto ma naturę włóczęgi, ale nie urodził się Cyganem, musi zostać reporterem.

Zacząłem nistypowo, jako redaktor naczelny. Mam jednak na usprawiedliwienie, że nie ukończyłem wtedy jeszcze szesnastu lat i w tym szkolnym dwutygodniku „Żak” byłem także woźnym, telefonistą i gościem.

W rok później, podczas wakacji, zaciągnąłem się na statek. I tam, u szwedzkich wybrzeży, z żołądkiem pokureczonym i niemal porwanym na strzępy, zaciskając zęby pisałem pod szalupą pierwszy swój reportaż. Nie byłem dobrym reporterem, ale marynarzem jeszcze gorszym. Kiedy stałem przy sterze, tak zjechałem z kursu, że bom u fokmasztu trzasnął jak prze gnła kłoda. Potem bezbronnym, wystawionym na ciosy wichury, sztorm spychał nas na skały Christianse.

Kolejna przygoda groziła jeszcze dotkliwszym rozbięciem. Tyle, że narażałem już wyłącznie siebie, bo reporter jest na ogół samotny niezależnie od tego czy ma tysiąc, czy też sto tysięcy czytelników. Jeśli ktoś z czytających te słowa marzy o karierze Kischy, chce być szalejącym reporterem, może być zupełnie spokojny: każdy reporter to człowiek no trochę szalony. To było w maju 1959 roku, osiedle akademickie na Bystrzyckiej. Dostałem się tam podstępem i przez miesiąc na przemian, kułem do egzaminów i ciągnąłem po linijce swój reportaż. Potem, kiedy już ukazał się w druku, wracając do domu tramwajem uświadłem na przeciw dwóch filigranowych dzieł.

— Zobacz tylko — powiedziała nagle jedna. — Co za świnstwo.

Gazetę poznałem od razu.

— Gdybym mogła, to bym autorowi wydrapała oczy — powiedziała.

Potem wezwał mnie do siebie rzecznik dyscyplinarny uczelni. Kiepsko było ze mną, choć nie napisał ani jednego słowa nieprawdy i nikogo nie chciałem skrzywdzić. Ale ulewinnili.

Pomimo ostrzeżenia, jakie w sobie nosiła druga przygoda reporterska, nigdy nie chciałem zgodzić się na rolę widza albo recenzenta, który ogląda starannie przedtem wyreżyserowane i wyretuszowane widowisko. Tak uzyskałem reportaże przypominające zawsze pozowaną fotografię, a jego bohaterowie mają okrągłutkie i wylupiane oczy.

Toteż mam nadzieję, że dyrekcja kopalni „Makoszowy” w Zabrzu wybaczy mi dwie doby spędzone pod ziemią bez jej wiedzy i kilka darmowych noclegów w hotelu robotniczym, dzięki czemu mogłem napisać reportaże o górnikach. Chęć także przeprosić referentkę kadr z kopalni w Bogatyni za zatajenie mego wykształcenia: z tymi sześcioma klasami trochę skłamałem.

To prawda, często muszę przemilczać swoje zajęcia, bo włóczęgów bezlitośnie przepędza się od drzwi i szczuje psami, ale nie skarzę się na los. Z notesem reporterskim w ręku przemierzam pół Polski. Nocowałem w apartamentach „Orbisu” i w przydrożnych rowach, spędzałem noce w senninach i na najtwardszych ławach drugiej klasy. Brnąłem trzęsąc się z zimna przez śniegi i w ciągu kilku godzin pokonywałem tysiące kilometrów na pokładach nainowocześniejszych samolotów. Jeździłem ciężarówkami i rolwą zaprzęzoną w jedną chudą szkapę, osobowym samochodem przeprawiałem się po dnie przez San.

Spędziłem z własnej woli noc w areszcie i na 18 dni zamknąłem się w więzieniu, byłem także w domu poprawczym. „Asystowałem” przy operacji na otwartym sercu i jeszcze kilkakrotnie przebieierałem się w kiel lekarski: w izbie wytrzeźwień, w sanatorium dla gruźlików. Wiele dni prześledziłem w sadach i przetrzeźwień dziesiątki kilogramów starych papierów w archiwach. Mogłbym pomnażać tę listę niemal w nieskończoność.

Pisałem o wielu sprawach. Często się myliłem i równie często miałem rację, bo praca nad reportażem nierzadko przypomina śledztwo. Gdyby reportażyści mogli na było zmienić świat na lepsze, świat byłby już idealny, ale czasem rzeczywiście udało mi się kogoś przekonać, kogoś obronić, komuś pomóc.

Często nie potrafiłem podołać zadaniu: długa jest lista reportaży, których nie umiałem napisać i do których może jeszcze kiedyś wrócić. Pamiętam w Ogwiecinu przypadkiem zamknąć mnie dozorca w bloku jedenastym, w bloku śmierci. Był mroźny trzydziestopiętny, skrzypiał śnieg, i słyszałem chrzęst

przesypujących się prochów czterech milionów. Potem wylamałem zamek i slaniając się na nogach ze znużenia, mokry od potu, dobiegłem do hotelu, ciągle słysząc ten przerażający chrzęst. Nie jestem jeszcze dobrym reporterem, nigdy nie znalazłem zdań, które oddałyby choć w części sykość popiołu na oświęcimskich polach, łatwiej pisać o jednostkowej śmierci.

Więc jak pisać reportaże? Ba, że bym to ja wiedział. Wiem może tyle tylko, że reportaże jest literaturą. Literatura jednego doświadczenia, ale zawsze. Jest przy tym literaturą szczególnie odpowiedzialną, bo zbudowaną z faktów rzeczywistych i nie wymyślonych. To wszystko można sprawdzić. Reporter jest niewolnikiem faktów i nie ma prawa buntować się przeciw tej niewoli. Pisarz może mówić o tym co prawdopodobne, reporter o-pisać tylko to, co zastał.

Niedawno wybrałem się na reportaże wspólnie z Makim. Znaćcie go równie dobrze jak ja, bo naprawdę nazywa się on Andrzej Makowiecki.

To była cała wyprawa, choć rzeczywiście niedaleko. Pojechaliśmy kupować wille. „Wołga” zawiozła nas w jakieś małe uliczki za Dworcem Kaliskim i znaleźliśmy się w kolonii domków jednorodzinnych pindranych się do nas nowobogactwem i spokojem.

Zatrzymaliśmy wóz przed willa z ogłoszenia. Następnego dnia miało ją sprzedawać na licytacji, a na licytację może przyjść nawet włóczęga. Chcieliśmy napisać reportaże z tej transakcji, poznać właścicieli domu, dowiedzieć się historii ich upadku. Aby uprawdopodobnić swój wygląd, zabraliśmy ze sobą mego sześciolatniego synka. Chłopak mówił do Makiego: wujku i pierwszy dopadł dzwonka na ganku.

Otworzyła nam niezbyt uprzejmie właścicielka, uchyliłszy kapelusze.

— My w sprawie ogłoszenia — powiedziałem powoli. — Co synku, podobna ci się ten dom, chcesz abyś go kupił z wujkiem?

— A portek za słówkę nie chce pan sprzedać z licytacji? — na to właścicielka i zamknęła drzwi. Nie wpuściła nas na pokój.

Staliśmy nieco zmieszani. Bądź co bądź nie miała prawa zatrząskiwac drzwi. Mój synek zszedł z ganku i obejrzał uważnie całą willę.

— Tutaj nie ma wieży — zauważył. — Nie warto jej kupować. Tak było naprawdę. I wtedy się zatrzymaliśmy. Dlaczego? Przecież reporter nie może mieszkać w wieży ze słoniowej kości.

"BŁĘDY i WYBA CZENIA"

Dalszy ciąg ze str. 5

Jesteśmy zobligowani tak silnie, że wprowadzamy „Łódzką szkołę magów” zwaną również „Z czarną magią na ty”. Wprowadzamy też „Ogłosy tygodnia”, z krótkim komentarzem: „Czytelnicy wybaczą nam, jeśli niektóre informacje mieć będą charakter konfidenancyjny”. Na ostodę, bo zabrzmiąło to jednak mimo wszystko jak nie zamierzona groźba, z gracją skrzyknęliśmy wszystkie „Piękne dziewczęta na łamy „Ogłosów”.

Potem nastąpił szczególnie uroczysty moment. Powiedzieliśmy sobie: „Reporterzy na start!” i ogłosiliśmy konkurs zamknięty na reportaże pod hasłem „Opisanie Łodzi”. Wystartowało 22 zawodników krajowych i 29 łódzkich. Potem był równie uroczysty finał. Przyjrzmy to jeszcze raz, odczytując listę laureatów. Nagroda II — Jerzy Ambroziewicz, nagrody III — Janusz Rosko i Stefan Bratkowski, nagroda IV — Feliks Bąbol. Przyjrzcie to po raz wtóry sięgając po książkę „Ucieczka przedmieścia”, która stanowi pion tego reporterskiego konkursu.

To były szczególnie piękne miesiące. Któż z Was nie wspomina z sentymentem naszej stałej rubryki „Informacje i zapiski”, gdzieśmy się czepiali nie informując i nie informowali czeplając? Przynosiłiśmy też Wam co tydzień porcję „Worka Judaszów”, dopóki nie opróżnił się cały ten worek.

str. 6

Rozpaliliśmy Was do białości dyskusją o chuligaństwie. „Lać pałką czy nie lać?” — taki tytuł pamięta się nawet po latach. No bo właśnie, lać czy poniechać?

Ewa Ostrowska nie poniechała. Oj, do stało się wtedy nauczycielom w raporcie „Dziwna sprawa czyli o prawo do amnestii”. Ze zgrozyły numer 200 uczęszczali tylko jednym jubileuszowym zdaniem.

odgłosy

ROK
1962

Koniec z prowincjonalizmem, stajemy się obywatelami świata. Drukujemy „Teksty adaptowane” do nauki języków obcych. Realizm nakazuje nam jednak zacząć się „Turystyczna Polska B” a szczególnie łódzka gastronomia, wobec czego A. Brycht pisze swój „Łódzki baedeker gastronomiczny”. Potem bezkompromisowy zazwyczaj Marian Piechał, autor cyklu felietonów „Sedno rzeczy” pisze paszkwil „Konserwacja trupa”. „Jakiego trupa? Opery. Gdyż opera jako gatunek widowiska scenicznego — to trup” — wyjaśnimy Wam słowa mistrza. Ale „W Łodzi to nie uchodzi”, zupełnie tak, jak się nazywa inny cykl felietonów podpisywanych przez Ojca Wirgiliusza z tym, że autentyczny Ojciec Wirgiliusz miał dzieci 123. „Ogłosowy” zaś zżółkł zamieścić ledwie parę plodów swego pióra.

O produkcji trupów, maceracji zwłok i wielu innych równie ciekawych, ale już nie metaforycznie ujętych sprawach dowiadujemy się co tydzień z „Notatnika prokuratora”. To w zasadzie powinno już zaspokoić zapotrzebowanie na nieboszczyków, beztrudno więc pozwalamy sobie drukować reportaże amerykańskie W. Karcewskiej, oraz cykl reportaży Bąbola „Łódź, w jakiej żyjemy”.

Dajemy Wam też prawdziwy rarytas, „Magdalene”. Ta sympatyczna, choć trochę grzeszna dziewczyna pojawia się o róż-

nych godzinach dnia albo nocy, ale za to w każdym numerze.

Tak bieżnie piąty rok istnienia. Dotrzymujemy słowa. Nie porzucamy naszych czytelników na rzecz trudniejszej i wysublimowanej problematyki.

odgłosy

ROK
1963

„Tak, tak kochani, „Ogłosom” stuknęła już piątka... „Ogłosy” nie miały najlepszych prognoz. Mówiono nawet złośliwie, że w Łodzi, w tym mieście szarym i mało kulturalnym, nie ma takiego problemu, kto pismo złoży. Jest tylko problem — kto je rozłoży i to na obie łopatki” — pisał w artykule „Na jubileusz” W. Jazdyński. Numer jubileuszowy (jubileusz nie zawsze wypadają w szczęśliwym momencie) ma osiem kolumn, ponieważ zbiegł się z początkiem kryzysu papierowego w Polsce.

To uszczuplenie nie ostudziło jednak naszych zapalów polemicznych. Postarał się o to ponownie M. Piechał ogłaszając felieton „Czy Łódź jest prowincją?”. Nasz redakcyjny komentarz przekraczał objętość dzieła, które spowodowało do jego napisania. Wówczas M. Piechał zaryczał jak lew i ogłosił „Ryk lwa i świętego wróbi”. W tym czasie „Ogłosy” spotkało miłe wyróżnienie. Uchwala Prezydium Rady Narodowej m. Łódź z dnia 28 lutego odznaczone zostały Odznaką Honorową m. Łódź. Pieciolatek wysiłek został zauważony, co najpełniej dowiodło, że Łódź nie jest prowincją. Na prowincji wysiłek ten zostałby zauważony już po kilku miesiącach.

Czytelników także spotkała premia, otrzymali od nas „nowy odcinek powieściowy” pt. „Nie ma powrotu”. „Żywa akcja, świetnie zarysowane sylwetki bohaterów z pewnością zainteresują naszych Czytelników” — zapewnialiśmy siebie i Was w specjalnej nocie o charakterze przedmowy.

Wszystkie publikacje cechuje głęboka

celowość. Jedynie A. Makowiecki zrywa wędzida, rozpisuje się o muzyce. A przecież są ważniejsze tematy, choćby „Zbyt długi impas ŁKS”. Jak znaleźć z niego wyjście?

Znajdujemy wyjście pośrednie — zmienia my kolor i winietkę, zieleń zastępujemy barwą pomarańczową.

odgłosy ROK
1964

Owoce niedojrzałe są zielone. Czy więc pomarańczowa barwa naszej winietki oznacza coś więcej niż zwykłą zmianę koloru? Oczywiście to sami. Ogłaszamy amnestię. Dla „Ogłosów”. I dla „Obrażonych Czytelników”, którzy żłną się na nas za to, że: „Ogłosy” drukują nowoczesną poezję; za duży tematyki kulturalnej; brak na naszych łamach konkursów w rodzaju „Najpiękniejsza łódzianka”; „Ogłosy” są nudne i nie prowadzą do krzyków.

W ślad za amnestią zaczynamy nieśmiały „Flirt z czytelnikiem”. Patronuje nam fraszka J. Czarnego (fraszki tego autora drukujemy przez okragły rok), która brzmi:

„Poglądy trzeba mieć zdrowe, pracować trzeba należyście, ażeby trudności przejściowe nie trwały całe życie”.

Takie zdrowe poglądy ma choćby Boileau, który prowadził w „Ogłosach” przegląd prasy. Sam jednak nie ma zbyt dobrego zdrowia, toteż po pewnym czasie zastępuje go Obserwator. Po kilkunastu wyczerpujących biegach forsuje się także nasz felietonista sportowy Punch. Przykładem tężyzny fizycznej jest za to Cwiek, który „Lowym okiem” przygląda się wszystkiemu już od 333 numeru. Pierwsza publikacja tego felietonisty nosiła niewinny tytuł „Ładne horyzonty” i rzeczywiście horyzonty muszą być niebrzydkie, skoro Cwiekowi starczyło zapału na blisko dwieście cotygodniowych machnięć piórem. Nasz komentator polityczny W. Ślawski legitymuje się równie dobrym zdrowiem jak Cwiek.

Wreszcie na łamy „Ogłosów” wraca

REPORTAŻ PODWÓJNIE INTYMYNY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KWAŚNE JABŁKA

Mój znajomy powiada, że reporter powinien być niebyle bezczelny, bo inaczej w tym fachu nie można. Jednakże cztery lata temu, kiedy w „Odgłosach” odbyła się zmiana warty na stołcu redaktora naczelnego i na innych redaktorskich stołcach — byłem dopiero początkującym reporterem. Początkujący reporterzy mają zwykle całą furę kompleksów. Zamiast zbierać materiały i pisać, waleśają się od gazety do gazety, od redaktora do redaktora i czekają na słowa zachęty. Są zazwyczaj bardzo nieśmiały, do brzości ułożeni i ogromnie inteligentni. Mówią niewiele, ale smacznie. Uprzejmy uśmiech, oszczędny gest — wszystko to znamionuje potęgę nie odkrytego jeszcze talentu, nieograniczonych możliwości.

Mój znajomy powiada, że reporter powinien być bezczelny ale — kiedy cztery lata temu odbyła się w „Odgłosach” zmiana warty — wkroczyłem w progi nowej redakcji z tremą i pokorą, i wpadłem na Frejdlacha, przepraszam: red. Frejdlacha. Przyjaźnił mnie nader uprzejmie, poczęstował papierosem i zaproponował reportaż o autostopie. Słapiłem na niego jak w tęczę, gdyż miał stawę króla reporterów i rozbił w tym mieście parę grubych awantur. Był ode mnie młodszy, ale od dałem mu wszelkie możliwe honory wdzięcząc się i krygując. Wreszcie jednak zapomniałem przypochlebiać:

— A delegacyjka, panie redaktorze, będzie?

Powiedział, że zobaczy, co mam w tej sprawie da zrobić, i poszedł do szefa, który siedział gdzieś na siódmą ścianą, a ja wróżyłem sobie na palcach: będzie, nie będzie, będzie, nie będzie... i wyszło na to, że będzie. Wtedy on wrócił i powiedział:

— Nie będzie!

Pojechałem więc w teren autostopem. Prawdę mówiąc — żaden porządny człowiek

nie powinien jeździć autostopem, chyba że nie ma pieniędzy, albo chce za wszelką cenę zostać reporterem opisując obyczaje tych wędrownych brudasów. U mnie te dwie sprawy się zbiegły. Koczowałem po szerokich drogach w kurzu i znoju. Dwie noce spędziłem na pazernej stacyjce kolejowej, gdzie o zmroku ścigała autostopowa hałastra obsiadając gęsto ławy pod ścianami i chrapiąc w niebogłose. Rano szedłem z nimi na śniadanie do baru mlecznego: dzieliłymi wspólny los: kawę, suche bułki i pogardę porządnych ludzi. Dojechałem tak aż do Giżycka, i tam, w ośrodku studenckim nad Mamrami, pod plandeką rachitycznego namiotu, który albo się lepił od wilgoci, albo parował upałem wystawiony na słońce — pisałem o smutnych wakacjach zdanej na autostop młodzieży. Wydawało mi się wówczas, że jestem bardzo nieszczyśliwy, gdyż miałem mało pieniędzy i na obiad musiałem wciąć kwaśne jabłka cztery złote za kilo.

Tym reportażem wcisnąłem się jednak na łamy nowych „Odgłosów”. Trud i poniewierka zapocentowały. Poszedłem od razu za ciosem prosić o delegację do Warszawy.

Dostałem, co mi świetnie wpłynęło na trawienie. Poczułem się, że tak powiem, doceniony, otoczony opieką. W tej sytuacji rozpocząłem swoją czarną serię:

— „Jazz” miałem dostać bańki od chłopaków z Klubu Studenckiego.

„Dworce” wyprowadziły z równowagi Radulskiego ze Spatifu i jego popleczników.

„Jarmark cudów” został od czytany jako paszkwil na wolne zawody.

„Ściana płaczu” miała się zakończyć sądem: najprzód dziennikarskim, potem, ewentualnie, powiatowym; niektórzy czynili starania, aby mi zakazać drukować w „Odgłosach”, inni podjeżdżali z boku w listach do redakcji bijąc w wielki dzwon dziennikarskiej etyki; jeden, ten najbardziej zapalczywy, powiedział, że jak mnie, no wiecie... to się przeniosę dwa metry pod ziemię do górników. Tak się dziwnie stało, że ów zapalczywiec, cierpiący widocznie na zanik pamięci, pod jał niedawno temat „Ściany płaczu”; też opisał piosenkę.

Tyle, że gorzej, więc nie miał dzięki temu żadnych spieć ze środowiskiem i nikt mu nie zabronił druku.

Reakcja, z jaką przyjmowano twory moich obserwacji, uprzytomniła mi, co to jest reportaż. Nad Mamrami, pisząc o autostopie — byłem jeszcze nieświadomy. Nie miałem pieniędzy i pojadłem kwaśne jabłka cztery złote za kilo, ale otaczał mnie błogosławiony spokój. Kiedy zaś wróciłem do Łodzi i opisałem kilka środowisk w sposób nieco inny, od ogólnie przyjętych szablonów — zarobiłem parę groszy, jednak spokój trzasnął, jak świąteczny balon w podgrzanym mieszkaniu.

Stałem wówczas przed alternatywą: albo posłuchać „życiowych” i odzyskać sieliski spokój (Ogródkiem trzeba, panie kolego, aluzjaka...), albo zawiązać na trwałe węzeł konfliktu. Przysłałem na to drugie — czyli na reportaż, który w swojej istocie jest gatunkiem konfliktowym, niebezpiecznym (nie tylko dla piszącego), jednakim więcej wrogów niż przyjaciół, wymagającym odwagi... Odtąd towarzyszy mi nieprzerwanie uczucie pewnego zagrożenia, napięcia — zarówno wtedy, gdy opisać mam szkołę, jak i wówczas, kiedy milicyjnym wozem jadę na bandycką melinę — każdy może się o brać, nauczyciel i chuligan, pracownik elektrowni i student; ten, kogo opiszesz, i ten, którego czasami opisać zapomnisz. Reportaż jest w zasadzie nie unormowany prawnie. Ot, chociażby kwestia nazwisk: tam, gdzie autor ma do czynienia ze zjawiskiem pozytywnym, może szczerą ręką serwować pochwały personalne, dbając jednak o właściwe wyważenie proporcji pomiędzy pochwałami dla tego i owego „bohatera”; jeśli natomiast piszesz reportaż krytyczny, użycie nazwiska staje się w wielu wypadkach przyczyną awantury, mimo że najczęściej twój domniemany paszkwil jest tylko łagodnym odbiciem rzeczywistości. Wiele dziennikarzy rozwiązuje ten problem poprzez wprowadzenie pseudonimów. Ale te pseudonimy, to nie są żadne pseudonimy, tylko pozmienniane, koszmarnie poprzekracane nazwiska: różni Flakowscy, Iksinscy, Chytrzyńscy, działający w jakimś nieznanym mieście Ł., zajmujący się mniej lub więcej podgrzanymi sprawami. Taki zakamuflo-

wany atak nie ma w zasadzie adresata, skierowany jest w próżnię, i niczego nie zafawia.

Na zakończenie wróć na moment do mojej „Odgłosowej” biografii. Od trzech lat zajmuję tu redaktorskie krzesło, a biurko, to mamy wspólnie z Frejdlchem. Nigdy się o nie, nie kłócimy. Rzadko sia-

dam przy biurku, a Frejdlch jeszcze rzadziej. Reporter w ogóle nie powinien siedzieć (chyba, że smaruje kroknik sądową). Przez trzy lata czekam z nadzieją, że pewnego dnia zjawili się w redakcji jakiś początkujący reporter, dobrze ułożony i niebyle błyskotliwy, i poprosi mnie o delegację. Ale do „Odgłosów” nie przychodzi młodzi reporterzy. Do „Odgłosów” na nieszczęście Jana Koprowskiego, przychodzi młodzi poeci. Niejeden z tych „młodych” poetów mógłby zostać od biedy wulgiem Konrada Frejdlcha (nie mówię: „ojcem”). Tylko nie wiem, czy Konrad by się na to zgodził.



Natalia Lach-Lachowicz. — Radość życia.

J. Koprowski, który już od kilku lat zamęcza wszystkich relacjonowaniem wydarzeń kulturalnych krajowych i zagranicznych. W ślad za tymi publikacjami pojawia się na łamach „Odgłosów” „Notatnik kulturalny” J. Wilmańskiego, dla utrzymania równowagi w piśmie trzeba więc postać w Polsce, J. Roszkę, który na nasz łódzki użytek odnawia gatunek zwany reportażem. O teatrze piszą M. Kornatowska. Pojawia się też w „Odgłosach” nowa forma, stenogramy dyskusji magnetofonowych, którymi nekamy czytelników przyzwyczajonych do czytania nas tylko w tramwaju, pociągu i u dentysty.

odgłosy ROK 1965

Raport spod „Ściany płaczu”. „I pwa... I śmierć!!!” — jak mówią kolejne zdania reportażu A. Makowieckiego. Zniechęcamy do siebie wszystkich bywalców pijalni piwa na Piotrkowskiej. Ale oto nadchodzi już wiosna a z nią święto włókniarzy, które „Odgłosy” witają specjalnym numerem. Spotyka nas nagroda. Na liście wyróżnionych w konkursie Związku Włókniarzy kilku „Odgłosowych” autorów: J. Babiński, F. Bąbel, W. Biliński, K. Frejdlch, J. Kołodziej oraz, jakże by inaczej, A. Makowiecki.

Kupujemy więc sobie lepszy magnetofon i od tej pory stenogramy dyskusji redakcyjnych coraz częściej pojawiają się na naszych łamach. Równie często gości u nas „Półka z książkami”, a także poważniejsze omówienia teatralne i książkowe. Wypowiadamy się również „O filmach dobrze i źle”, o filmach produkcji krajowej na ogół niedobrze. „Kronika antytelewizyjna” przyjacielsko usposobiona do świata zamienia się w kronikę protelewizyjną, chociaż nie zmienia swojej nazwy. To nie jedyna sprzeczność, jaka nas dotyka. Z upodobaniem na przykład lansujemy wiersze i pro-

zę łódzkiego środowiska literackiego, co wzbudza zrozumiałe protesty Związku Literatów. Na szczęście nieporozumienie się wyjaśnia i znowu może zapanować stan błogiej koegzystencji.

Ale błąd na dłuższą metę nudzi, publikujemy więc cyklicznie „Pitaval łódzki”, i opowiadamy, których nie pozwolono zrealizować Hitchcockowi w telewizji.

W tym czasie „Notatnik kulturalny” zmienił gospodarza, zaczyna go podpisywać Arystarch. I na dobre stabilizuje się „Kronika tygodnia”, czego nie można powiedzieć jednak o „Notatniku”, który podpisuje teraz kolejny autor, R. Łoboda. Za to W. Jażdżyński, felietonista, znany z bożowości, może podsumować swój rok na naszych łamach komunikatem: „U schyłku roku felietonistów łagodnieją. Nie, żeby brakowało ostrych tematów, lub nie było się z czego pośmiać. Owszem — afery, nonsensy wcale nie przestają się trafiać, tylko że pisać o nich nie wypada”.

My kończymy rok w mniej łagodnym nastroju publikując naszego miastka „Fotografii nie do paszportu”, którą autor J. Urbankiewicz kończy następującym westchnieniem: „Mamy więc wiele powodów do zadowolenia, ale okazja, jaka jest Nowy Rok nakazuje żywić sobie poprawy tych wszystkich miłych i pozytywnych wskaźników”.

odgłosy ROK 1966

Rezygnujemy z usług Hitchcocka nie dając w zamian nie albo prawie nie. Troszkę to uchodzi naszej uwagi, ale wybaczenie, zaangażowani jesteśmy w ważną sprawę. „Miejsce dla Łodzi” — tak nazywa się publikacja J. Babińskiego, jedna z całej serii artykułów i reportaży prezentujących nasze miasto na tle innych wojewódzkich miast Polski łącznie ze stołeczną Warszawą. A wskaźniki, trzeba to stwierdzić, nie wyglądają zbyt mobilizująco. Nieco otuchy można nabrać obserwując kulturalny a-

wans Łodzi. Rzeczowo i wnikliwie mówi o tym w wywiadzie dla „Odgłosów” i sekretarz KŁ PZPR, Józef Spychalski. Wypowiadają się rektorzy wyższych uczelni, działacze kulturalni, a nawet ekostodżanie.

W ogóle znaleźliśmy się chyba w ogródku zwanym partycypantem. Łódź pitavalowa, Łódź przemysłowa, Łódź kulturalna, Łódź „Z teki Wacława Kondka”. Jaka ongiś była, jaka jest, jaka będzie. Robert Gluth przenika do fabryki i zatrudnia się czas jakiś w charakterze wózkarsza, aby napisać cykl reportaży o ludziach pracy. A już kultura masowa zostaje omówiona w całej masie publikacji.

Z tego wszystkiego nie dobrego wyniknąć nie może, a tymczasem, trudno to sobie wprost wyobrazić, wynika. Spieszmy do nas ze swoją sympatią Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. Zdaje się, walcząc o miejsce dla Łodzi wywalczyliśmy jednocześnie swoje miejsce w tym mieście.

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi funduje nagrody dla naszych publicystów. Na liście laureatów J. Babiński i A. Makowiecki za reportaże o nowej Łodzi oraz K. Frejdlch i J. Urbankiewicz za cykl publikacji poświęconych przeszłości miasta.

odgłosy ROK 1967

Niepostrzeżenie staliśmy się poważni. Możliwe, że nawet za poważni. Czyżbyśmy się postarzel? Są już młodzi od nas. W odstępiech miesięcznych, z regularnością PKP, a wiadomo, że pociągi niekiedy się spóźniają, publikujemy „Kolumnę młodych”. Z perspektywy czasu okazuje się, że ci młodzi nie mogą nam starym zaimponować romantyzmem. Bo pomyśleć sobie, że sprawom poezji poświęciliśmy blisko dziesięć kolejnych numerów! Wandurski i Broniewski, H. Karwackiej, festiwal poezji, dyskusja o tym festiwalu i o poezji w ogóle. Całe szczęście, że zostało nam nieco miejsca na łamach „Odgłosów” na bardziej prozaiczne sprawy. Ojciec tego miasta, Ed-

ward Kaźmierczak, w artykule „Wielka przebudowa” ukazał przeobrażenia Łodzi lat ostatnich. Profesor Jan Muiżel napisał ciąg dalszy. Co czeka nas w Łodzi w najbliższych pięciu latach? Czego statystyczny łódzianin może się spodziewać po planach rozwojowych miasta?

Przypomnijmy sobie także „Humor z egzaminów wstępnych, który przygotowała Wam do refleksji E. Siemińska. Ale student to także istota nieznana jak dowiodła na naszych łamach ta sama autorka. A w ogóle to czyżmy sprawom wyższych uczelni nie poświęcili zbyt dużo miejsca.

J. Koprowski okazał się także istotą nieznana. Z felietonistów przeobraził się w reportera. Przewędrował Gruzję i kawał Rosji a potem, jakby to było samo co przejść się po Piotrkowskiej, pojechał na dodatek do Damaszku.

Publikacje z tych podróży podobały Wam się, co wiemy z odpowiedzi na naszą ankietę, zależało nam bowiem bardzo, aby Czytelnik „Odgłosów” stał się istotą poznana. Blisko rok trwał ten nasz zinstytucjonalizowany flirt z Wami za pośrednictwem kartki papieru. W podsumowaniu napisałem:

„Nie robimy tej gazety dla siebie, chcemy Wam nią służyć w miarę swoich sił i możliwości. „Nasz Czytelnik — nasz Pan”, można by po gorkowsku powiedzieć, że to brzmi dumnie. Ale rzecz można także odwrócić. Stare porzekadło głosi wszak nie bez kozery, że „Jaki pan — taki kram”.

Co do nas, jesteśmy zadowoleni z kredytu zaufania, jakim nas darzycie. Nie będziemy go nadużywać, bo ta ufność napawa nas wiarą w sens naszej pracy. Patrzymy w przyszłość „Bez strachu” (niech B. Sztajnert daruje mi, że posługuję się tytułem jego felietonów).

Dziesięć lat, to pewnie, szmat czasu. Ponad pięćset numerów „Odgłosów”, tyle, że już nam się zdążyła popłatać ich kolejna liczba. I tyleż samo tygodni.

PS. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, o którego sympatii przekonaliśmy się już nie raz, przyznało nagrodę zespołowi „Odgłosów”. Nagrody indywidualne otrzymali: W. Kondek i E. Siemińska.

LEKTOR

str. 7

MÓJ FLIRT

Z

„Odgłosami“

Pytanie takie jakieś, panie święty, dziwne. Frywolne, można powiedzieć. Nie na pół zimową barwę moich włosów. Nie flirtujemy więc. Boże broń, że sobą, ale się chyba wzajemnie lubimy i — kategoria wartościowania nieczęsta w literackiej „krajnie Laputów”, zżeranej przez demony zgiełkopisarstwa — swoichmniemianiamani — i chyba szanujemy. Jesteście pismem w ramach przyjętej konwencji, z wielu względów koniecznej, bardzo kulturalnie i żywo redagowanym. Szkoda, że zrezygnowaliście z kroniki życia kulturalnego tygodnia. Ostatnio Red. Biliński znakomicie i z rzadkim poczuciem humoru ją pisywał.

Współpraca? Układa się bez zarzutu. Obie strony, Wasza Wysoka, i moja odpowiednio niższa — honorujemy chyba bez zakłóceń limit, jaki na mnie wypada, przy założeniu, że pismo chce żyć, jego czytelnicy również, i że jest nas w Łodzi, rytmoprozotwórców raczej niemało (coś dwa razy do roku wiersze, w październiku przekłady, jeden czy dwa fragmenty nowej prozy). Raz co prawda w jednym z wierszy zapomnieliście mi wydrukować ostatni wers, przez co wiersz znacznie zyskał na niezrozumiałości, a mnie spotkały niezasłużone wyrazy uznania ze strony naszej pięćdziesięcioletniej młodzieży awangardowej — że „doganiam epokę”. Mówiąc serio, był to wypadek całkowicie odosobniony i wolę takie wypadki o wiele bardziej, niż praktyki przed piętnastu laty jednego z najbardziej naówczas bojowych pism literackich, które „dowydziwkiowywało” mi wiersze. Zdarzyło mi się na przykład napisać kiedyś o siłach wrogich pokojowi, że chciałaby z powrotem „ująć fabryki w dłonie twarde”. Byłem pewien, że w ten sposób ich machinacje zdemaskowałem z całą właściwą mi ostrością. Po wyjściu numeru dowiedziałem się z mojego wiersza, że używam asonansów i że podlegacie pragną „ująć fabryki, wziąć za mordę”.

Jesteście najdłuższym działającym i najbardziej poczytnym ze wszystkich periodyków literackich czy półliterackich w ciągu długiej historii Łodzi od Władysława Jagiełły i burmistrza Drewnowicza po... dzień dzisiejszy, i za to Wam chwala.

Obiecuję sobie solennie, że kiedy już trochę wypiszę się jako kobyłasty i długo każda rzecz męczący prozaik, i uspokoję się, że to i owo z widzianego i przeżytego udało się w jakiejś mierze ocalić do zapomnienia — sformułowałem to mimo woli trochę zarozumiale, ale cóż zrobić — wezmę się żywiej za poniechawaną z żalem od lat, bieżącą publicystykę literacką i felietonową gawędę z czytelnikiem. Wiek już ten, że miałbym to i owo młodszemu czytelnikowi, a i niektórym protektorom od kultury i sztuki, do powiedzenia. Wtedy zgłoszę się do Was na ochotnika i ożywiemy nasz flirt. Będę in illo tempore leciwsi, a uczy historia pobożna o nieboszczce czystej Zuzannie, że starcy są w nawiązywaniu kontaktów dosyć stanowczy.

Dziesięciolecie — to ważny moment świadczący o stabilizacji czasopisma. Oczywiście nie ma potrzeby triumfowania z tego powodu, ale periodyk, który nie stał się efemerydą, ma prawo snuć dalsze, ambitniejsze plany, a środowisko może i powinno podtrzymywać go w tych dążeniach.

Jeżeli chodzi o mój pogląd, wolałbym pismo nie średniej — wojewódzkiej, lecz wyższej — ogólnopolskiej rangi. Ale nie od razu Kraków zbudowano: ważne to, że nie zaprzestano budować. Wydaje mi się, że „Odgłosy” spełniają obecnie ważną rolę pośrednika między średnimi a wyższymi kategoriami potrzeb czytelnicy. Takie „pośrednictwo” przypomina nieraz kwadraturę koła. Wyższe kryteria grożą, niestety, obniżeniem ilości, a niższe — jakości odbiorców. „Odgłosy” zdołały w tej trudnej sytuacji utrzymać rodzaj złoego środka z wyraźną tendencją do stopniowego, ostrożnego podnoszenia swej rangi.

Sądzę, że życiowość czytelnika zdobyły „Odgłosy” umiarem i godnością, unikaniem banalnych sporów, sensacji itp. łatwizn niższego rzędu. Mając to na uwadze, z ufnością patrzę na rozpoczynające się drugie dziesięciolecie sympatycznego czasopisma.

str. 8

Mój flirt z „Odgłosami”? Flirt? To chyba przesada. Ani z jednej ani z drugiej strony. Ja się nie narzucałem, a i „Odgłosy” nie ubiegały się specjalnie. Bilansem lat — jeden fragment prozy na rok, za cały czas jeden wywiad, (należy przyznać, że wyzerpujący: na kolumnę, ze zdjęciem, tak że pewne koło młodzieżowe sprowadziło mnie do Łowicza na spotkanie autorskie i, gdy przyjechałem, chcieli czytać ten wywiad), parę reportaży z województwa, kilka recenzji teatralnych (w jednej przekręcono nazwiska do niepoznania i przeznaczono horrendalne zdania, napisałem sprostowanie, którego „Odgłosy” nie umieściły pod pretekstem, że „korektorki się obrażały”). No i proszę! czy to można nazwać flirtem? Ale w przyszłości — nie ręczę.

Leon
Gomolicki

Jan Koprowski postawił przede mną naparstek koniaku i dużą kawę, mimo iż wolałbym odwrotność. Aha! Zamiast choć raz spontanicznie poprosić o wiersze czy opowiadanie, chce zadać kolejne pensum. Tym razem na temat: Mój flirt z „Odgłosami”. Okazuje się bowiem, że drugi po dwutygodniku „Kronika” łódzki periodyk literacko-społeczny liczy sobie ponad dziesięć lat.

Flirt? Czy to Melpomena lub któraś z innych Muz? Czy „Odgłosy” odznaczają się aż takim wdziękiem, żeby z nimi flirtować? Czy ja kiedykolwiek umiałem flirtować? Zawsze wszystko brałem dość poważnie, co było jedną z przyczyn różnych moich niepowodzeń życiowych.

Otóż z „Odgłosami” się współpracowało lub wylóciło. Odstukać: od jakiegoś czasu znowu się współpracuje.

Pismo rozmaite przechodziło koleje. Był na przykład okres, w którym ścisły zespół redakcyjny pisał się w autoklamiarstwie i „niszczeniu” innych. Raziło to do tego stopnia, że zerwałem współpracę. Ale pragnienie publicznego wypowiedzenia się przewyciężyło w końcu wszystkie nieporozumienia, przeciek tak mało mamy łamów!

Różne rzeczy drukowało się w „Odgłosach”. Prowadziłem kiedyś w tygodniku nawet własne „pismo” pod tytułem: Mieszaniny. W „pismku” chętnie drukowałem wiersze mego nieodżałowanego przyjaciela, Kaliksta Łasickiego. Gdy je wreszcie udało się wydrukować w oddzielnym tomiku nakł. Wydawnictwa Łódzkiego, zostały niemiłosiernie schłastane właśnie w „Odgłosach”. (A ludzie lubią utrzymywać, że w „Odgłosach” nie, tylko wszystkie książki się chwali!)

Na jedną cechę redakcji pisma chciałbym zwrócić szczególną uwagę, gdyż dla tych, co znają nieco stosunki, jest ona wyróżniająca. W „Odgłosach” dość życzliwie traktuje się autorów znanych i nieznanych. Dostęp do szpalt pisma, ograniczonego przecież serwitutami profilu i objętością, jest otwarty, nie warunkują go jakiejkolwiek zakulisowe zabiegi.

Co stanowi kardynalną choć niezawinioną wadę „Odgłosów”? Nie mają konkurencji. Życzę tedy tygodnikowi, by w najbliższym dziesięcioleciu przybył mu konkurent. Choćby w postaci miesięcznika „Osonowa”. Konkurencja to znakomity doping i nie bardzo rozumiem, dlaczego w tak wielu dziedzinach naszego życia tak się ją lekceważy.

Wydaje mi się, że — a zdarzało się to w praktyce „Odgłosów” choćby w 1966 roku — recenzji nie należy powierzać ludziom aroganckim. Arogancja bowiem jest jakimś wyrazem niewiedzy. I wcale nie chodzi o łagodne traktowanie różnych przejawów twórczości i życia artystycznego. Po prostu, najbardziej krytyczna ocena może być kulturalna.

Życzę by należało ciekawych reportaży, pojmovanych albo jako frajapane przedstawienia jakiejś sprawy, albo jako prowokacje do istotnych wniosków. Zresztą, w kwestii polskiego reportażu tyle napisano, że nie się nie doda.

I wreszcie: oby (od-) GŁOSY nie były głosem wołających na pomoc. Wiele publikacji pisma zasługuje na wyższy odźwięk i na polemiczną uwagę. Przede wszystkim w naszym mieście.

Moja opinia o „Odgłosach”? Różna w różnych okresach — oczywiście okresach żywota „Odgłosów”, nie mojego. Trzeba na dobro „Odgłosów” zapisać, że nie są zastępy, że co jakiś czas się zmieniają, że mają właśnie te swoje różne okresy — lepsze lub gorsze. Ostatnio, biorąc pod uwagę kilka ubiegłych miesięcy — wydaje mi się — wstąpiły „Odgłosy” w swój nieco lepszy okres. Na czym on polega? Na przybliżeniu — że tak powiem — ku sobie dwóch z pozoru sprzecznych i przez to niezwykle trudnych do zrealizowania postulatów zgłaszanych pod adresem „Odgłosów” od początku ich istnienia: najpełniejszego reprezentowania łódzkiego środowiska twórczego na zewnątrz i jednocześnie docierania do jak najszerszych mas czytelnicy naszego miasta i regionu. Czy to są postulaty do pogodzenia? Być może, ale kosztem pewnych, nieraz daleko idących redukcji obu postulatów. Jeżeli „Odgłosy” podają materiał pełniejszy i trudniejszy, zachęcają być czytane także poza Łodzią, ale za to tracą zainteresowanie w najszerszych masach czytelnicy samej Łodzi, jeśli zaś dają materiał łatwiejszy i bardziej uproszczony, tracą czytelników poza Łodzią, stają się pismem wąsko regionalnym.

Nie wiem, jak jest obecnie z ilością czytelników „Odgłosów”, ale myślę, że nie różowo, bo ich poziom, pomimo nierówności poszczególnych numerów, jest na ogół coraz lepszy. Zwiększa dwa działy: kulturalny i rubryk stałych wydają mi się najżywiej redagowane, zawsze prawie aktualne i na poziomie wyrównanym. Mam tu na myśli szczególnie cotygodniowe szpalty z wierszami, sporadycznie organizowane dyskusje redakcyjne na wybrane tematy, niektóre artykuły dotyczące tradycji kulturalnych Łodzi, zbyt niestety rzadką i kapryśną Kolumnę Młodych, doskonałego moim zdaniem Cwika z jego „Lewym okiem”, także polityczną „Kronikę tygodnia” i społeczno-kulturalną rubrykę „Nożycami przez prasę”, a zwłaszcza co niezwykle rzetelną zagraniczną rubrykę kulturalną „Kto, co i kiedy?”.

A co jest moim zdaniem słabe lub zaniedbane w „Odgłosach”? Przede wszystkim dział recenzji aktualności książko-

wych. Rządzi tutaj przypadek, jeśli nie zupełny chaos, zarówno w doborze omawianych książek jak i zwłaszcza omawiających je recenzentów. Podobnie jest w informacjach o aktualnych sprawach w łódzkich środowiskach twórczych. Za mało jest bezpośrednich rozmów czy wywiadów z łódzkiimi uczonymi, literatami, plastykami, działaczami społecznymi. Prawie nie pisze się o muzyce i o imprezach młodzieżowo-swieńlicowych (jako problematyczne twórcze). Za mało moim zdaniem o tradycjach kulturalnych Łodzi i okolicy. Za mało dyskusji młodych ze starymi nie tylko między literatami, ale między plastykami, ludźmi teatru, filmu, nauki, szkolnictwa. Za mało o kulturze życia towarzyskiego i kulturze obyczajów. Poza tym proponowałbym — w trybie nagłym i bezwarunkowym — wprowadzenie do „Odgłosów” jeszcze jednego stałego działu: językowego! Czytanie w „Odgłosach” (choć jest to grzech wspólny całej prasy polskiej) artykułów niektórych, skądinąd nawet dobrych autorów, to istnie polyanie drutu kolezastego — tyle w nich elementarnych niepoprawności gramatycznych, wykrecozeń przeciw naturze języka, po prostu kryminalów językowych. Nie szukając daleko, na przykład w ostatnim numerze „Odgłosów” z dnia 25.II, br. czytamy, że pewien uczoney publikuje „monografię o Tarasie Szeewczenko. Po jakiemu to? Po polsku mówi się i pisze w narzędniku zawsze i wszędzie: o Tarasie Szeewczence. Następne zdanie tegoż autora brzmi: „Przygotował także do druku 20 tomów dzieł Iwana Franko”. Dlaczego Franko, a nie Franki? Przecież nikt z inteligentnych Polaków nie mówi, że czytał książkę Bohdana Czeszko, tylko Czeszki! A poza tym nie wierzę, żeby — jak podaje autor — wydawca monografii o Iwanie France „znał ponad sześćdziesiąt języków obcych” — jeśli chwalił się, że znał, to na pewno żadnego nie umiał dobrze. Znać dobrze można najwyżej dwa lub trzy języki. Te budzą o poliglotach, którzy rzekomo znali po kilkadziesiąt języków, to bajki dla dzieci! Kto sprawdził i czy mógł w ogóle sprawdzić, że na przykład „Duńczyk Rasmus Christian Rask znał aż 230 języków?” I jakich? Ale Lenin znał właściwie dobrze, poza ojczystym, tylko dwa języki: niemiecki i angielski. Zaś Mickiewicz expedite tylko właściwie jeden: rosyjski. Ale o tym specjalnie kiedyś indziej.

Kiedy po raz pierwszy brałem do ręki nowy numer „Odgłosów”, żeby go przejrzeć w kąpiele, nie uwierzylbym, że tak dalece dam się temu pismu wciągnąć i zainteresować, a nawet zawojsować. Uwagę moją przykuły wówczas — i dzieje się tak dalej do tej pory — znakomite fotografie zapewniające pismu własne oblicze, styl, charakter. Uśmiecham się czasami zdziwiona, że tak wiele sugestii, lub erotyzmu, kiedy indziej humoru, albo smutku, beznadziejności, strachu może mi przekazać podniesiona do rangi wielkiej sztuki fotografia i jej autor. Dzięki swoim fotografom „Odgłosy” wydają mi się zarazem trochę staroświeckie, tyle tylko jednakże, że stary dom, albo kurantowy zegar; jednocześnie ta sama cecha zbliża je znacznie do współczesnych wydawnictw w krajach bardzo zamożnych, gdzie szata graficzna prasy czy książki działa jak magnes.

Żyjemy szybko, nikt nie ma za dużo czasu, mimo to fotografom w „Odgłosach” poświęcam u nas w domu chwilę refleksji, nierzadko kilka słów, najczęściej bardzo pozytywnych.

Rycho zresztą spostrzegłam, że „Odgłosy” nie są tylko szatą graficzną mogą mi się zainteresować. Okazało się, że pismo nadaje się do czytania i to nie tylko w wannie! Pismo do czytania mamy jak wiadomo mało. Mam sporo pism służących licho wie do czego. Jakże często przynosisz wiązkę świeżych kolorowych tygodników zanuram się w nie, żeby po przeczytaniu powtórzyć opinię sławnego kpiarza: „Co nowego piszą? Datę. Reszta pozostała bez zmiany”. Na tym też wyraźnie rysuje się profil „Odgłosów”. Przykłady? Bardzo proszę. Pasjonująca publicystyka, reportaże o łódzkiej budce z piwem ustawiają szereg poważnych problemów, drukowany chyba w ubiegłym roku, może wcześniej; felieton o dramatach robotnic w dawnej Łodzi; świetnie podane materiały (kol. Wiesław Jądzynski) o latach okupacji, o obozie wyniszczenia dzieci. W jednym z ostatnich numerów przyciągnął mój wzrok dwie zamysłone główki chłopców przy znakomitym reportażu Teresy Wojciechowskiej „To nie jest dom Ali”. Niemal równocześnie przeczytałam ozdobiony interesującą fotografią, ukryty pod skromnym i bladym tytułem, artykuł Jana Koprowskiego „Niemcy i Polacy”. Ponieważ o powyższej pozycji zamierzałem właśnie wysłać do Redakcji „Odgłosów” list, omówię ją nieco szerzej. Czytałam już poprzednio w prasie literackiej słabowitą recenzję o książce Bobrowskiego „Młyn Lewina”. Kochany nasz recenzent (a że nie pamiętam jego nazwiska, przeto i bać się w dzień ani w nocy nie będę) stręścił od biedy utwór i na tym wyzerpał swoją inwencję. Tymczasem u Koprowskiego zaczyna się od razu coś dzieć gawędziarskiego i bibliofilskiego:

„Kierownik księgarni „Pegaz”, Jan Gierańczyk, powiedział mi, że książka ta, idzie słabo”. Bardzo się zdziwiłem, albowiem wydaje mi się, że jest to jedna z najciekawszych pozycji, jakie się ostatnio ukazały, szczególnie cenna dla polskich czytelników!”

Od Koprowskiego dowiadujemy się o Bobrowskim czegoś więcej, niż daje nam recenzent dukający streszczenie powieści; śledzimy poszukiwania polskiego pisarza pragnącego poznać Bobrowskiego, przeżywamy z nim żal, (zawsze, jeżeli Conrad jest nam bliski, jeżeli czytaliśmy przedwznie piękną książkę Conrada „Ze zwierzeń” wydaną nakładem PIW) żal, że nie zdażył mówić z Bobrowskim nawiązującym do swojego „legendarnego przodka Józefa Conrada”, bo zgon Bobrowskiego zamknął tę kartę literatury pozostawiając resztę badaczom.

Zamierzałem napisać „Odgłosom”, że ten artykuł zasługuje na silniejsze wyeksponowanie tytułem, układem graficznym itd. Wyobrażam sobie, co z takim tekstem zrobiłby nasz niezastąpiony „PRZEKROJ”!

A więc wznoszę toast za pomyślność „Odgłosów” i dalsze sto lat! Ale zanim wypiję koniak jubileuszowy, chcę szczerze i po przyjacielsku coś pismu zarzucić:

1. Nie lubię satyry politycznej: Wietnam, broń nuklearna, wszystko to budzi grozę, świadczy o strasznym ogólniepieniu ludzkiego szypnasa, nie mogę się z tej satyry śmiać, ona mnie rani. (To jest może zbyt osobiste wyznanie).

2. Czegoś mi brakuje w „Odgłosach”. Bardziej wypoczynkowej ostatniej strony pisma, (tej, od której zaczynam lokurować) jakiejś ostrej przyprawy, paru fraszek Jana Sztudynge- ra, złośliwych podpatrzeń z innych pism, odrobiny buntu i przekory w stosunku do bezsensownych form językowych akceptowanych przez autorytety, jak chociażby straszne słowo „pracowniczka”, nader popularne w Warszawie, nadające się do śpiewu, do tańca i do różańca:

„Pracowniczka jedna miała chłopca z drewna... I konsekwentnie; forma męska: „Pracowniczek jeden miał etatów siedem...”

O ile wiem, żadne pismo nie drukuje systematycznie kwiatków językowych wyławianych obficie, zwłaszcza w tłumaczeniach, a „Odgłosom” przydałaby się strona relaksowa, za nim odwróci się kartę, żeby czytać artykuły, prozę, reportaże, felietony.

A więc, Wasze zdrowie, Koledzy! Gratuluje!

Tadeusz
Chróścielewski

Seweryna
Szmągłewska

Marian
Piechal

Stanisław
Czernik

2 x ĆWIEK



Lewym
okiem

JEDŹMY DALEJ...

Mam cały komplet, od pierwszego do ostatniego numeru, łódzkiej „Kroniki”, poprzedniczki „Odgłosów” na czasopiśmienniczym rynku naszego miasta. Byłem jej stałym czytelnikiem, widocznie jednak nieliczny to był gatunek ludzi, skoro smętnym zdaniem o zbyt małym gronie czytelników, pismo — bardzo dobre, ciekawe pismo — zakończyło swój trzyletni zaledwie żywot.

Jestem też stałym konsumentem „Odgłosów”, które dawno przekroczyły wiek swej poprzedniczki i w

ogóle wiek wszystkich periodyków typu społeczno-kulturalnego, jakie kiedykolwiek w Łodzi próbowały wychodzić. Trochę mnie zresztą zdziwiło przypomnienie Szanownego Redaktora, że w marcu „Odgłosy” kończą dziesięć lat. Patrząc na numer kolejny — pięćset czterdziesty! — czyżby rok miał aż pięćdziesiąt cztery tygodnie? Pod numerem stoi jak wół rzymską cyfrą: rok jedenasty. Skądinąd wiem jednak, że z kalendarzem można wyczyniać różne rzeczy, z datowaniem pism tym bardziej, nie mówiąc o pomyłkach, które tylko w austriackich cesarsko-królewskich urzędach skarbowych decydowały nieodwołalnie o karierze urzędnika.

Więc numer kolejny jest wynikiem pomyłki i nie jest numerem kolejnym, rzymska cyfra odnosi się do lat kalendarzowych, o które zahaczyła edycja pisma, a tak naprawdę to właśnie w marcu kończy się sto dwadzieścia miesięcy „Odgłosów”. Nie jest to dużo w porównaniu z medycznym czasopiśmiennictwem „Lancet”, które wychodzi w Anglii bez przerwy od dwustu lat, ani z poważnym organem krajowym dla dzieci — „Płomyk” — mającym za sobą pięćdzie-

siąt lat istnienia, ani z dwudziestotrzyletnim „Przekrojem”, który przestał już dostrzegać własne jubileusze, tak mu spowszechniały. Nas w Łodzi takie powodzenia nie zepsuły. Cieszymy się dziesięcioleciem — na zdar, „Odgłosy”, chapeau bas, „Odgłosy”, jedźmy dalej!

Już widzę oczyma wyobraźni tę lawinę listów, jaka runie na Redakcję. Jest przecież okazja. Nie pytani, nie ciągnięci za język obietnicą premiowanych ankiet, nie zapraszani na dyskusję przy kawie — przyjaciele pisma powiedzą, co o nim myślą. Ja wiem, wielu jest nieśmiały i wielu takich, co nie wiedzą, od czego zacząć. To może pomóc? Podpowiedzieć?

Czy na przykład zauważyliście, PT Czytelnicy, że ilustracje w „Odgłosach” nigdy nie mają nic wspólnego z tekstem? Wcale nie przez zły dobór zdjęć, tylko w wyniku świadomego, programowego założenia: zdjęcia mają stanowić wartość samoistną, jako przykłady sztuki fotograficznej, mają pełnić rolę równoważną do roli kapitalnych rysunków Wacława Kondka. Często są to zdję-

cia ciekawe i oryginalne. Ale tak — tonem zaczepki: czy reportaże nie ożywiłyby się, gdyby je zilustrować autentycznymi zdjęciami, jak nie wstydzą się tego robić najpoważniejsze pisma świata? Czy na przykład w reportaż o Bułgarii, mówiący o kamiennych skałach, o górach i urwiskach, najlepiej było włożyć wcale z nim nie związane zdjęcie bezkresnych bagien, bo było ładne? Czy do bardzo potrzebnej, moim zdaniem, nowelki z dreszczykiem na ostatniej stronie, nie lepiej posowałby sugestywny rysunek, jak najistotniej związany z treścią opowiadania, zamiast coraz mniej wyraźnych, aluzyjnych, ledwie czytelnych aktów?

Druga jubileuszowa zaczepka: czy nie byłoby wskazane, aby korektor czytał tytuły uważnie?

Trzecia... Trzecią już nielato znaleźć. Dwa przytyki na dziesięć lat, to chyba niedużo, Panie Redaktorze? Tak niedużo, że niech i ta skromniutka ich liczba będzie poczytana za komplement dziesięciolecia. Jedźmy dalej, na razie do tysięcznego — bez pomyłek — numeru!

ĆWIEK



Lewym
okiem

ZALEDWIE TRZYDZIEŚCI LAT...

„Na samym wstępie muszę stwierdzić, iż dzisiejsza kobieta nie jest pełnowartościową kobietą. Na miano pełnowartościowych kobiet zasługuje tylko jakiś procent. Bo gdy kobieta obcina po męsku włosy, gdy wkłada, jak mężczyzna, spodnie i gdy przypina narty, aby szaleć, używając sportu, to naprawdę budzi się w mężczyźnie wątpliwość: czy taka kobieta jest rzeczywiście kobietą, zasługującą na szacunek u niego?”

„Chcę jeszcze parę słów napisać o pracy kobiet. Otóż według mnie, mężatki nie powinny zajmować posad państwowych, tylko panny, których rodzice nie są zamożni i które chcą pracować, by nie być ciężarem tych rodziców. Lecz przemawiam za tym, aby te panie pracowały w biurach oddzielnych, nie razem z mężczyznami, a to dlatego, że gdy kobiety pracują razem z mężczyznami, to tak z jednej strony, jak i z drugiej, praca ta nie odbywa się bez wrażeń, gdyż czasem same niewinne spojrzenia źle wpływają na równowagę umysłu. Panna będzie w tym otoczeniu upatrywać kandydata na męża i choć skrycie — będzie oczyma wodziła po wszystkich kawalerach; opamięta się wtenczas, gdy zauważy, że takiego nie ma wśród tego grona. Niejeden znów mężczyzna, czy to kawaler, czy żonaty, upatruje tylko swej ofiary, którą mógłby uwieść...”

„Prócz tego stwierdzę, że kobiety nie powinny być wybierane do Sejmu, ani do rządu, ani nie powinny zajmować żadnych stanowisk w dyplomacji, a to dlatego, że dają się łatwo zwieść mężczyźnie z dobrej drogi”.

„Lecz jeszcze smutniejszym i okropniejszym jest to, gdy panna lub mężatka idzie, w letnie dni słoneczne, na plażę, gdzie swoje ciało prawie nago wystawia na widok publiczny i gdzie karmi oczy wszystkich mężczyzn swoimi nagim ciałem. I trzeba stwierdzić, iż kobiety dawniejsze chyba nigdy się nie zdobyły na takie poniżenie i bezwstyd, na jakie się zdobywają dzisiejsze kobiety”.

A cóż to za idiotyzmy, spytacie, cóż to za hasła na Dzień Kobiet? Są to jak najbardziej dosłowne cytaty z książeczki, którą pod tytułem „Duma i honor” wydał własnym nakładem, w Warszawie, w roku 1938, pan Władysław Gałas. Oczywiście, to już wtedy, w roku 1938, był zupełny idiotyzm, a sam autor był niewątpliwym grafomanem, o tak fantastycznym pokielbaszonym umyśle, że czytającego „Dumę i honor” najpierw śmiech pusty ogarnia, a potem litość i trwoga. Niemniej jednak jest to monstrualna, skrajna, neurasteniczna forma poglądów, które wtedy przecież żyły, żyły w wielu, wielu tysiącach umysłów. Wtedy — zaledwie trzydzieści lat temu!

W owym roku 1938 minęło zaledwie dwanaście lat od momentu, gdy pierwsza kobieta uzyskała w Polsce nominację na profesora uniwersytetu: doktor Helena Wilmanowa. Była doktorem o specjalności możliwie najdalszej od aktualnych potrzeb, od żywej rzeczywistości; widocznie uważano, że takie kierunki studiów można ostatecznie udostępnić i powierzyć kobietom. Był to sanskryt i filologia indyjska na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ale równocześnie z nominacją pierwszej pani profesor,



Zbigniew Łagocki. — Akt.
ZDJĘCIA ZAMIESZCZONE W NUMERZE REPRODUKUJEMY Z ALMANACHU FOTOGRAFII POLSKIEJ 67.

w młodszych od niej pokoleniu, w niektórych specjalnościach kobiety uzyskały już nawet więcej dyplomów magisterskich niż mężczyźni: na humanistyce 82 dyplomantki, a tylko 22 magistrów; na matematyce równutko po 22; na weterynarii — 34 kobiety, 25 mężczyzn!

Dziwny to trochę układ: przewaga kobiet właśnie w sanskrycie i w weterynarii. Może po prostu nie było chętnych, trudno o posadę, a kobiecie to wszystko jedno. Podajemy te

cyfry i te cytaty z czasów, które doskonale pamięta pokolenie niestarych przecieź, w pełni sił, pięćdziesięciolecie — właśnie dziś, z okazji Święta Kobiet. Wyobraźcie sobie, Wy, młodzi — trzydziestoletni i trzydziestoletnie — że żyjecie pod ciśnieniem właśnie takich opinii, jakie w hiperbolicznej formie reprezentuje pan Gałas. Wyobraźcie sobie takie życie i porównajcie z Waszym, dzisiejszym. Różnica, co?

ĆWIEK

Dział filmowy „Odgłosów” ma za sobą dziesięciolecie i chwilami nawet burzliwą przeszłość. Jeżeli nie odegraliśmy w dziejach kinematografii tej roli, co ostatecznie Cahiers du Cinéma, to wyłącznie z uwagi na tzw. okoliczności obiektywne. Intencje nasze były jak najszlachetniejsze. Ambicje dalekosiężne. Chcieliśmy zawsze penetrować, drążyć, postulować, walczyć i wznosić. Mieliśmy nawet własne przekonania. Lansowaliśmy konsekwentnie twórczość pewnych reżyserów zgodnie z duchem polityki autorów. Przypomnijmy kilka nazwisk popularizowanych przez nas twórców: Antonioni i Fellini, Kurosawa, Bergman i inni. Na ogół nie zawiedli pokładanych w nich nadziei. Potwierdziło to raz jeszcze słuszność obrony przez nas drogi i trwałość naszych przewidywań, opartych na ściśle naukowych przesłankach.

Propagowaliśmy także z uporem i entuzjazmem znakomite rezultaty filmowych poczynań braci znad Włostawy. I tylko skromność (nabyta!) nie pozwala nam wspominać o tym, iż stanowca postawa „Odgłosów” musiała uczynić wrażenie nawet na amerykańskiej Akademii Filmowej i kto wie, czy nie wpłynęła ostatecznie na jej decyzję przyznania Oscara światłemu filmowi „Sklep przy głównej ulicy” Kłosa i Kadara. Historia niewątpliwie rozstrzygnie i tę kwestię.

Ukazując się na bruku polskiego Hollywood, „Odgłosy” podjąć musiały trudną misję krzewienia rodzimej twórczości, co jak każdy może się domyślić, stanowiło zadanie niewdzięczne, a nawet ambitne. Możliwe jednak zanotować na swym koncie sporo poważnych osiągnięć, m. in. kilkunastu wybitnych reżyserów, których nazwiska z uwagi

na brak miejsca nie wymieniamy, przestało się kłaniać współpracownikom naszego dzieła. Trudno w tej chwili ocenić sprawiedliwie wkład „Odgłosów” w kształtowanie oblicza rodzimej kinematografii, ale jest on niewątpliwie godzien uwagi. Staraliśmy się udzielać możliwie jak najwięcej dobrych rad i wskazówek. Reszta to już sprawa samych reżyserów, którym zostawiliśmy pełną swobodę działania w myśl naszych pouczeń.

Felieton z łezką

W przeciwieństwie do innych organów publikujących wyłącznie po dobny gwiazd filmowych pici żeńskiej, wychodziliśmy naprzeciw żądaniom szerokiej rzeszy kobiet uczących się i pracujących, zamieszczając na naszych łamach zdjęcia męskich gwiazdorów w dużym wyborze. Naszym ulubionym chłopcem na okładkę był jednak zawsze, opiewany przez sam „Przekrót” (patrz utwór wierszowany L. J. Kerna), jedyny i niepowtarzalny, Gregory Peck.

Możliwość rozumienia najgłębszych marzeń i potrzeb kobiecych wynikała zapewne z faktu, iż pisanie o filmie paraliżowało się na łamach „Odgłosów” przede wszystkim panie, i to rzecz charakterystyczna, obdorzona najbardziej ko bięcym imieniem Ewy. Była więc

Ewa Nagurska, i Ewa Nurczyńska, Ewa Siemińska, Ewa Suliborska i Ewa Ostrowska. Wśród tych wszystkich Ew królował samotnie jedyny w tym gronie krytyk filmowy — dżentelmen — Aleksander Nieśmiątek.

W zamierzczłej przeszłości działem filmowym kierował Janusz Weychert, potem redakcją tzw. „Mieszanki filmowej” przejął Zbigniew Nienacki. Pod jego opieką skrzydłami rozwinęły się młode talenty łódzkiej krytyki filmowej. Niestrudzenie wymyślał tematy artykułów. Uczył i radził. Oceniał i sądził surowo ale sprawiedliwie. Niżej podpisana swoje skromne początki także zawdzięcza Nienackiemu i jego „Mieszance”.

W „Mieszance”, jak to w mieszaneczce, pisało się po trochu o wszystkim — o kobiecie w filmie i o wampirach, o krytyce i o horrorach itd. itd. Oko czytelnika ważyły liczne fotostudy mniej lub bardziej ubranych gwiazd, zawsze najpiękniejszych i najmodniejszych.

Z czasem nie stało „Mieszanki” i dział filmowy „Odgłosów” rozmaite przechodził koleje, zawsze jednak dźwigając wysoko sztandar odwagi i odkrywczą krytykę, żywo i gorąco uczestnicząc we wszystkich wydarzeniach życia filmowego w kraju i na świecie.

Rzecz jasna, działalność nasza wyglądałaby zupełnie inaczej, gdy byśmy mogli dysponować pięknym, błyszczącym papierem, kolorowymi fotostudiami i nieco innym formatem. Nie tracimy jednak nadziei, że w ciągu następnych dziesięciu lat nasze marzenia staną się rzeczywistością. Wiele rzeczy w filmie ulegnie zapewne zmianie do tego czasu, ale naszym ulubionym chłopcem na okładkę pozostanie zawsze, wiecznie młody i jedyny w swoim rodzaju, Gregory Peck.

MARIA KORNIATOWSKA

TELEOBIEKTYW

...Jubileuszowy

Jubileusz „Odgłosów” otwierający drugie dziesięciolecie pisma wywołuje we mnie mieszane uczucia. Bo z jednej strony dziesięć lat istnienia pisma to w gruncie rzeczy niedużo. Londyński „Times” liczy sobie ponad sto osiemdziesiąt lat. Sto osiemdziesiąt i dziesięć. Sami porównajcie!

Nawet w naszej skali krajowej „Odgłosy” są pismem bardzo młodym. Poniekąd jeszcze zabkującym. Doświadczenia redakcyjne w odczuciu subiektywnym z pewnością bogate, są jeszcze — obiektywnie oceniając — stosunkowo skromne. Polegają na poszukiwaniu formuły pisma i na samookreśleniu.

Bynajmniej nie chcę umniejszać zasług „Odgłosów”. Są one znaczne, zwłaszcza, że osiągnięte na gruncie łódzkim, nie zawsze najwdzięczniejszym dla czasopiśmienia społeczno-kulturalnego. Ponadto ostatnie dziesięciolecie charakteryzuje się zdecydowanym wkroczeniem naszego kraju w okres kultury masowej, co ma wszechstronny wpływ także i na redagowanie pisma.

I tu dochodzę do swojego podwórka, to jest do spraw telewizyjnych. Telewizja w Polsce jest niewiele starsza od „Odgłosów”, a jej pełny rozwój przypada również na ostatnie dziesięć lat. I ona także stale jeszcze znajduje się na etapie poszukiwań i samookreślenia.

Służyć dowodami. A właściwie jednym dowodem, ale za to bardzo świeżym. Dostarczyła mi go dyskusja pod hasłem: „Tylko dla wiatremniczych” nadana przez Telewizję Warszawską w dniu 1 marca.

Dyskusja nawiązywała do podjętej przed paru tygodniami przez kierownictwo TV decyzji wstrzymującej nadanie programu popularnonaukowego pt. „Antygeny TV”. Decyzję tę telewizja podjęła bez przekonania pod presją gwałtownych protestów Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt. Program dotyczył mianowicie spraw przewyciechania tzw. bariery immunologicznej oraz przeszczepiania narządów, przy czym to niezwykle aktualne zagadnienie miało być wyjaśniane poprzez filmową demonstrację prac badawczych, dokonywanych przez naukowców na zwierzętach.

Nie chcę ustosunkowywać się do meritum sprawy. Zagadnienie jest z pewnością zainteresowane w najszerzych warstwach społeczeństwa perspektywami, jakie przed medycyną otwiera stosowanie przeszczepów narządów. Walka o życie Washkanskiego, pierwszego człowieka z przeszczepionym cudzym sercem, zakończona po osiemnastu dramatycznych dniach niepowodzeniem, utrzymywanie przy życiu już przez przeszło dwa miesiące dr Blalberga, budzi powszechny podziw i nadzieje. Czasem przesadne i przedwczesne.

Przygotowując się do programu na temat przeszczepów, telewizja pragnęła zareagować w sposób czuły na panujący w szerokich kręgach brak rozczepienia i informacji. Uwzględniła przy tym dwa elementy zagadnienia: olbrzymią rolę TV oraz sugestywność eksplikacji poprzez obraz. Żaden artykuł prasowy, żadna pogadanka nie są w stanie dorównać widowisku telewizyjnemu w skuteczności wkładu.

I oto nieoczekiwanie poja-

wił się nowy element sprawy, pozornie uboczny, a przecież nie do pominięcia. Działacze Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt wskazali na szkodliwy wpływ, jaki może wywrzeć na młodocianym widza oglądanie doświadczeń na żywych zwierzętach. Podkreślano przy tym, że właśnie sugestywność obrazu telewizyjnego jest w tym przypadku czynnikiem ujemnym. Cytowano również przykłady sadystycznych „operacji” dokonywanych przez dzieci najczęściej na kotach.

W sumie zarysował się więc problem dla telewizji niemal teoretyczny. Gdzie z punktu widzenia interesu społecznego przebiega granica dopuszczalności w programach telewizyjnych? Czy z powodu pewnego niewielkiego odsetka odbiorców o skłonnościach sadystycznych, pozostawiać olbrzymią resztę poważnego i klarownego, bo opartego na środkach wizualnych programu? Czy liczyć się z dodatkową pewną ilością osób, które są uczulone na widok wszelkich zabiegów operacyjnych, ale które mogą przecież po prostu nie ośwładać programów tego typu?

A zatem sami jeszcze dobrze nie wiemy, na co wolno sobie pozwolić telewizji, a gdzie się rozpoczyna obszar tabu. Dyskusja przed kamerami raczej zarysowała dwa poglądy, niż przyniosła jakiegokolwiek rozwiązanie. Przedstawiciele telewizji (Waniewicz, Żukowski) przejawiali pewne zniecierpliwienie z powodu próby nakładania im wędzideł. Skrajnie przeciwny punkt widzenia reprezentowała p. Kościółkowska, sekretarz Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt. Inni uczestnicy dyskusji skłaniali się w stronę zwolenników puszczania programu na antenie, postulując jednak przy tym, jako zasadę, najwyższą ostrożność i umiar.

Sledząc dyskusję, zaobserwowałem jeszcze jeden moment charakterystyczny dla specyfiki telewizyjnej. Otóż ze zrozumiałych względów rzadko udaje się zgromadzić przed kamerami dyskutantów w równym stopniu zaangażowanych emocjonalnie w sam temat rozmowy. Ponieważ zaś rozmówcy reprezentują ten sam mniej więcej poziom intelektualny i znajomość zagadnienia, wyróżnia je temperatura zaangażowania dając niektórym z nich z miejsca pewien handicap. Ich przekonanie wewnętrzne wpływa na sugestywność podsuwania własnych racji widzom. Takie są prawa telewizyjnego ekranu.

W dyskusji, o której piszę, szczytowa temperatura, niemal temperatura wrzenia reprezentowała p. Kościółkowska. Innych dyskutantów (może jeszcze z wyjątkiem red. Waniewicza) cechował pewien chłód, jeżeli nawet nie obojętność dla zagadnienia.

Tak oto z okazji jubileuszu „Odgłosów” zaserwowałem przykład, jak to się telewizja próbuje samookreślić. Życie współczesne jest skomplikowane. Myślę, że i „Odgłosy” miałyby kłopoty z samookreśleniem. Niech im się z tym wiedzie jak najlepiej! Co mówiąc wychylałam na powodzenie pisma kieliszek rubinowego „Egri Bikaver”.

Władysław Głowacki

A może bysmy tak do KINA

Jeżeli, to na sentymentalny dramat z życia wyższych sfer włoskiego cudu gospodarczego pt. „Nagie godziny” reżyserii Marco Vicario. Wstrząsającym, acz jedynoludowym przeżyciem miłosnym bohaterki kreowanej przez małżonkę reżysera, pełną rozlicznych powabów Rosanę Podestę, dodaje uroku malowniczy włoski pejzaż, mistrzowsko fotografowany przez świetnego operatora Carlo di Palmę. Dozwolone raczej od lat osiemnastu.



Gwoli uczciwości, nie możemy nazbyt gorąco, mimo wrodzonych uczuć patriotycznych, polecać naszym czytelnikom nowego polskiego filmu w reżyserii Jana Rybkowskiego pt. „Kiedy miłość była zbrodnią”. Bezsensowność i naiwność scena riusza idą w parze z potknięciami pseudonowoczesnej realizacji. Film wywołuje huragan śmiechu na widowni, niezamierzonych zapewne, gdyż jak na komedię ma zbyt wolne tempo. Trzeba nie lada talentu, żeby zmarnować tak interesujący temat.



Gwiazda jubileuszowa — Monica Vitti.

POLETKO
TELE-
OBIEKTYWU

nr 12

Z powodu uroczystości jubileuszowych edycja odwołana.
W. O.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Jean Dubuffet i jeden z jego obrazów.



Jean Dubuffet. Portret malarza Fautriera (1898-1964)

SUROWA SZTUKA?

„Poganiacze wiel obadów na Saharze posiadają więcej kultury niż profesorowie paryskiej Sorbony”. „Ten kogo interesuje historia jest jak człowiek, który przechowywałby w szafie wszystkie spodnie swoich przodków od czasów Wercyngetoryksa” (Wercyngetoryks był wodzem Galów w powstaniu prze-

ciw Cezarowi w r. 52 przed n.e.). „Dzieła ludzkie zmieniały się więcej światła niż kretowiska”. „Do muzeum chodzi się jak na cmentarz”. „Wszystkie muzea winno zastąpić jedną wielką statua poświęconą przeszłości”.

Tego rodzaju powiedzenia zawierające wątpliwe prawdy, absurdałne życzenia, groteskowe sformułowania wypowiada znany francuski

malarz, 66-letni Jean Dubuffet, który wydał ostatnio dwutomowe, liczące 1104 stron dzieło pt. „Prospectus et tous écrits suivants”. Znalazły się tu artykuły krytyczne o sztuce, eseje, szkice autobiograficzne oraz inne materiały jakiego Jean Dubuffet od 1944 roku zamieszczał w katalogach wystawowych, czasopiśmie i broszurach.

Jean Dubuffet studiował malarstwo w Paryżu, przerwał jednak studia, podróżował, ożenił się i przejął po ojcu do skonałe prosperujące przedsiębiorstwo handlu winem i wódkami w Hawrze. Nie porzucił jednak malarstwa, a od roku 1944 poświęcił się intensywnie i wyłącznie swej pasji artystycznej. Początkowo maluje pod wpływem Bonnard i Modiglianego, następnie zrywa całkowicie z tradycyjną techniką i za przykładem niektórych ówczesnych malarzy próbuje wypowiedzieć w całkiem nowym tworzywie. Dubuffet nakłada na płótna kit, cement, żużel, żwir, formując jakby cienkie kawałki muru, na których wydrapuje zabawne postacie kłownów i dzieci, rysy nieforemnych głów, płaskich kobiecych ciał, grzyzłoli tuste krowy lub po prostu w płaszczyźnie obrazu robi pęknięcia, rowki, szczeliny.

Studiuje bohomy i bazerolw wydrapwane na murach przez dzieci, rysunki umysłowo chorych, malarstwo dyletantów-amatorów, rysunki wieśniów. Wszelkie to staje się dla niego inspiracją dla twórczości swoich i niepozabawionej specyficznego dowcipu i poezji.

Dzieła dzieci, wariatów, amatorów i kryminalistów nazywa „surowa sztuka” (Art brut) i oznajmia, że jest jej od krzywa. Zakłada swoje prywatne muzeum owej „art brut”.

NAGRODA POETYCKA IMIENIA PAULA VALERY

Prix Paul-Valery przyznawana od lat dwudziestu pęciu co roku studentowi — poecie, otrzymał ostatnio Andre Libens student uniwersy-

tetu w Lowanium w Belgii za poemat pt. „Marsza z Petersburga”. Nagroda wynosi 1.000 franków.

ALEKSANDER BŁOK I MUZYKA

Radziecki poeta Aleksander Blok duże znaczenie w życiu współczesnego człowieka przypisywał muzyce.

„W naszych czasach — pisał Blok w liście do matki — tylko muzyka i poezja trafiają wprost do serca. Muzyka jest trudniejsza. Niegdyś właśnie ona wydawała mi się tak świętą jak ziemia, trawa, wschód słońca”.

Radziecki dźwiękowy miesięcznik „Krugozor”, w najświeższym numerze jaki do nas dotarł, przynosi w części tekstowej informacje o tym jak dzieła Bloka stały się inspiracją i natchnieniem dla twórczości kompozytorskiej. Tekst ma formę listu otwartego, którego adresatem jest mieszkający w Paryżu hiszpański kompozytor Don Luis Pablo.

Wiersze Bloka, z którymi Pablo zapoznał się w przekładzie na język włoski, zrobiły na nim duże wrażenie. „A właśnie nadeszła wiadomość — pisze Anatolij Agamirów w „Krugozorze” — że mieszkający w Leningradzie Siergiej Słonimski na piśmi kantaie „Głos z chóru” korzystając z wierszy Bloka. Dla młodego kompozytora Słonimskiego — czytamy w „Krugozorze” — Blok jest bardziej współczesny niż inni, żyjący poeci”.

W dramacie Bloka pt. „Róża i krzyż” jedną z głównych postaci jest brodaty trubadur Gaetan. Jego to pieśń stała się głównym motywem kantaty napisanej przez Siergieja Słonimskiego.

Wiersze Bloka były też natchnieniem dla słynnego kompozytora radzieckiego Szostakowicza. „W wierszach Bloka ujęła mnie liryka i głęboka muzyczność” — powie sławny kompozytor. W części dźwiękowej miesięcznika „Krugozor” otrzymaliśmy m. in. sześciominutowe, bardzo staranne nagranie recytacji na podkładzie muzycznym, pieśni Gaetan, kantaty Siergieja Słonimskiego (śpiew solista z towarzyszeniem chóru i orkiestry) do tychże wierszy Bloka i „Pieśni Ofeli” Szostakowicza, utwór dla którego również natchnieniem stała się poezja Aleksandra Bloka.



Grawiura J. Kosmyńska

spektakle tygodnia

WIELKI — „Rigoletto”

1	spektakl	1276	widzów	100%
1	„Dama Pikowa”	1276	„	100%
1	„Kniaź Igor	1276	„	100%
3	„Halka”	3828	„	100%

NOWY — „Stuby panieńskie”

1	„	700	„	100%
3	„Damy i huzary”	1500	„	75%
2	„Trzy białe strzały”	1000	„	75%
2	„Tkacz”	1400	„	100%

NOWY — „Skiz”

5	„	400	„	80%
---	---	-----	---	-----

POWSZECHNY — „Bereziacy”

1	„	600	„	90%
1	„Tango”	660	„	100%
2	„Święta Joanna”	1200	„	90%

JARACZA — „Nie zapomnisz owych dni”

5	„	3150	„	100%
---	---	------	---	------

(w Teatrze Rozmaitości)

3	„Ogniem i mieczem”	1890	„	100%
5	„Mordercy stowaryszeni”	2110	„	100%

TŻŁ — „Hedda Gabler”

6	„	923	„	49%
7	„Los człowieka”	1935	„	100%

OPERETKA — „Niedziela w Rzymie”

6	„	4733	„	70%
---	---	------	---	-----

JAN KOPROWSKI

Czy tylko dziesięć lat?

„Odgłosy” zaczęły ukazywać się w 1958 roku, ale przedtem była „Kronika”, a jeszcze wcześniej „Łódź literacka”. Dawne to dzieje, choć tak niedawne. Jeśli chce je przypomnieć to dlatego żeby uzupełnić obraz ruchu czasopiśmienniczego w Łodzi po okresie posuchy i zastój. Przypomnieć mi to tym łatwiej (albo tym trudniej), że zarówno w „Łodzi literackiej”, jak i później w „Kronice” pełniłem obowiązki redaktora naczelnego i mam w pamięci (a także w zachowanych notatkach) przebieg tamtych wydarzeń. Po bujnym okresie życia artystycznego i literackiego w pierwszych latach po wojnie, kiedy Łódź pełniła obowiązki role stolicy kraju, nastąpiła w naszym mieście jak ktoś określił dramatycznie „pustynia kulturalna”. Do odbudowywania się Warszawy wyprzedzali zespoły redakcyjne „Kuznicy”, „Wsi” i „Szpilek” przeniosły się instytucje wydawnicze teatrów (m. in. znakomity zespół Leona Schillera), artyści, naukowcy, pisarze. Była poważna ułebka w gospodarstwie kulturalnym naszego

miasta. Łódź na kilka lat pozostawiono czasopiśmienniczo i charakterze literackim i społecznym.

Zmiany na lepsze zarysowały się dopiero na przełomie lat 1954-55, kiedy poczęły pękać okowy schematyzmu, a zachłanny centralizm ustępował miejsca powoli lecz stale narastającemu procesowi decentralizacji. Wtedy właśnie nadszedł, się w Łodzi nowe czasopismo pn. „Łódź literacka”, którego pierwszy numer nosił datę lipiec — sierpień 1954. W zespole redakcyjnym żartowaliśmy, że jest to miesięcznik ukazujący się jako dwumiesięcznik co kwartał raz na pół roku. Pisze to słowa i uświadamiam sobie, że z tamtego zespołu nie żyje już Stanisław Pietak, który prowadził dział prozy, nie żyje Grzegorz Timofiejew — sekretarz redakcji, nie żyła nas współprawniczka — autorka świetnego esaju „Z warsztatu pisarza”. Halina Maria Dąbrowska i Wacław Mrozowski — zaprzyjacieli ko-

ogółem wydaliśmy 5 numerów „Łodzi literackiej” ostatni jej numer ukazał się z datą luty — marzec 1955. Na łamach „Łodzi literackiej” zgodnie z nazwą czasopiśmienniczą, pragniemy ujawniać i kształtować nowo powstające procesy kulturowe, twórcze, czyściwie nie w oderwaniu, lecz w ścisłym związku z całokształtem przemian kulturalnych w kraju. Ale „Łódź literacka” ukazywała się zbyt rzadko i zbyt krótko, aby można było ten trudny program w pełni zrealizować. Znacznie lepiej choć równie nie całkowicie udało nam się to na łamach „Kroniki”, która ustabilizowała się jako dwutygodnik, dzięki czemu redakcja mogła działać skutecznie i konsekwentnie, niż w kapryśnej pojawiającej się „Łodzi literackiej”. Przypomnę, że pierwszy numer „Kroniki” ukazał się 1 maja 1955, a ostatni — 15 listopada 1957 roku. 61 numerów pisma to już jest coś. Kiedyś dziś prześledziliśmy, trzy roczniki „Kroniki”, nie bez pewnej melancholii, ale też i nie bez uczucia zadowolenia musimy stwierdzić, że w tych trudnych warunkach redakcja zrobiła bardzo wiele, choć — rzecz jasna — nie zrobiła wszystkiego. A jakich tużów mieliśmy w zespole redakcyjnym! Proszę: Stanisław Bruc, Lech Budrecki, Stanisław Czernik, Jan Huszcza, Wiesław Jażdżewski, Tadeusz Papiet, Marian Piechal, Stanisław Pietak, Edward Szuster,

Grzegorz Timofiejew. Przez jakiś czas (zresztą niedługi) pracowali również w redakcji: Wacław Billński, Mirosław Ostoja-Ochocki, Władysław Rymkiewicz i Jerzy Waleńczyk. Redagowanie pisma nie jest sprawą łatwą. Każdy kto kiedykolwiek parzył się redagowaniem wie, ile wymaga to czasu, energii i zabiegów. Nie chodzi przecież tylko o techniczne redakcyjne, pismo z ambicjami (a czyż jest do pomysłienia pismo bez ambicji!) musi dążyć do stworzenia wokół siebie środowiska, odbywania spotkań i dyskusji na aktualne, palące tematy kulturalne, literackie i społeczne. Myśle, że w „Kronice” rozumiano to rolę pisma, potwierdza to materiały, które drukowaliśmy, oraz stałe kontakty z plastykami, muzykami i dziennikarzami, a zwłaszcza ze środowiskiem naukowo-universyteckim, co dało nieźle rezultat. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że w żadnym innym piśmie o charakterze kulturalno-społecznym w analogicznym okresie nie opublikowano tyle prac i wypowiedzi ludzi nauki, jak właśnie na łamach naszego łódzkiego dwutygodnika.

Dewiza, która kierowała mnie jako redaktora, brzmiała: tylko spokój może nas uratować. Ten spokój kosztował niekiedy bardzo wiele. Pełzł to raz trzeba było pokonać gorzką niewolę. W tym roku niekiedy krzywdy, gdy stwierdzę że w zespole

redakcyjnym nie było łatwo o harmonijną, toczącą się bez zgrzytów współpracę. Zalety temperamentu i cechy indywidualności, wzięte z osobna, stanowią zjawisko bardzo cenne. Ale w zespole te same przymioty stawały się nieraz zarzewiem sporów i nieporozumień, utrudniających robotę. Jedną rzecz nauczyła mnie praktyka redakcyjna: umiejętności stosowania kompromisu. Pisarze, powodowani nadwrażliwością, wnieśli często istnie piekło o rzecz drobną, o szczegół: o pominięcie w jakimś podsumowaniu ich nazwiska, ba! o wydrukowanie nazwiska zbyt małą czcionką, albo o zamieszczenie utworu w nieefektywnym miejscu. Były i takie przypadki, że X nie życzył sobie, aby jego pracę drukować na tej samej stronie co artykuł N.

Zawsze marzyłem o tym, żeby móc w redakcji realizować zadania, które autorem jest Jean Paul Sartre: „Gazety się nie redaguje, gazety się tańczą”. W Polsce jest to szczególnie trudne, albowiem pokutuje u nas myślenie i fałszywe wyobrażenia o pisaniu. Lekko znaczyć u nas tyle, co powierzyć, natomiast ciężko to tyle, co głęboko i mądrze. Wiele pismem ciężko, mądrze i głęboko co niewatpliwie dodaje nam splendoru, ale odstrasza czytelników. Tak w każdym razie było dawniej, a jak jest dziś?

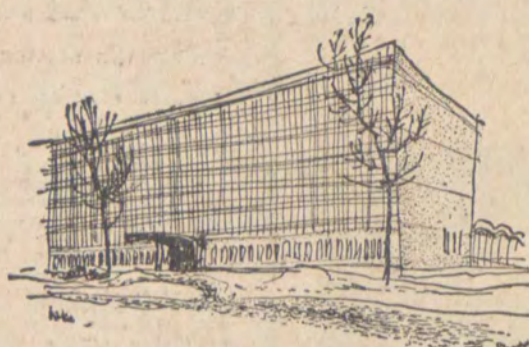
Bez strachu

NIEZNANE SŁOŃCE

Podobno w bardzo dawnych czasach, a być może jeszcze przed początkiem czasów, kiedy słońce było o wiele większe i bardziej ciekawe niż obecnie, przeleciało obok niego inne słońce, być może równie wielkie, a może nawet większe. Od naszego słońca, które zresztą jeszcze wtedy nie było naszym słońcem, oderwała się w strone owego, obcego słońca fala ciekawej gorącej materii i poczęła wirować między dwoma słońcami przez oba przyciągania. Uformowała się wreszcie w kształt dyska i ostrośnie w wyniku sprężenia przyciągań rozpadła na planety. Drugie słońce pedziło już wtedy przez galaktykę — zapewne zaczęła, inne słońca i współtworzyło inne planety. W każdym razie istniały dwa tworzące słońca — jedno z substancji, z której powstał nasz, drugie, które zapoczątkowało, planetotwórczy i życiotwórczy ruch. Uznajmy, że o pierwszym słońcu, nie natomiast nie słychać o dalszych losach drugiego słońca, co więcej nie słychać, by istniał ktoś kto pragnie je tropić w otchłaniach Drogi Mlecznej — jest w tym braku zainteresowania okrucieństwo dzieci, które wyparły się ojców. Być może to niespokojne twórcze słońce, że się teraz prowadzi. Może planie wpada na inne gwiazdy i rozbiła je w kosmiczny pył, w strugi meteorów i komet. Może zginęło w zderzeniu z jakąś potężną gwiazdą? Kto nam odpowie na te pytania — słońce, które nam świeci codziennie, to nasza matka, to drugie nieznane słońce jest naszym nieznanym ojcem. Jesteśmy zatem nieślubnymi dziećmi słońca, czy nigdy już nie zobaczymy naszego ojca? Tak czy inaczej, co powstało jest ze słońca i ziemi, i gady przedpotopowe, i ryby, i krowy, i ludzie. Ze słońca był Cezar, Napoleon, Kościuszko i każdy był ze słońca. Słoneczne kosy podnosiły kosmowierzy, na słonecznych tokarkach pracują robotnicy. Mówiłem ścisłe, jesteśmy dziećmi dwóch słońc i nie godzi się zapominać o słońcu ojcu — zapalił kiedyś w kosmosie ogniste cygaro, z którego strzępów powstał nasz. Opowiedziałem o tej sprawie pewnemu młodszemu intelektualistce, intelektualista zażyty był właśnie praktyczną i dożadną czynnością zjadania obiadu. „Co z naszym słońcem — ojcem”, wołałem, „czy bardzo to pana obchodzi?” — zapytał intelektualista i zaczął się ponownie dobrze przypieczona pieczeni. „Oczywiście, że bardzo musi to obchodzić — być może, że gdybyśmy znaleźli drugie słońce — dowiedzielibyśmy się wiele o nas samych — ludziach”. „Co da nam żyć tylko po jednym — słońcu?” „Tak, ale powstał pan także dzięki drugiemu”. „I co z tego, jak powstał, ważne jest jak żyje”. „Nieprawda, nieprawda; zanim pan umrze ujrzy pan oba słońca — ojca i matkę na jednym niebie. Niezłomnie w to wierzę”. „Cennie pana osobliwy sposób zastoso-

BERNARD SZTAJNERT

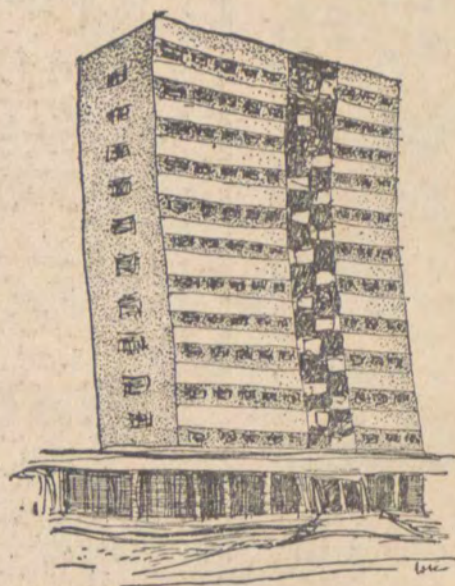
Dziesięć lat Łodzi, dziesięć lat „Odgłosów”



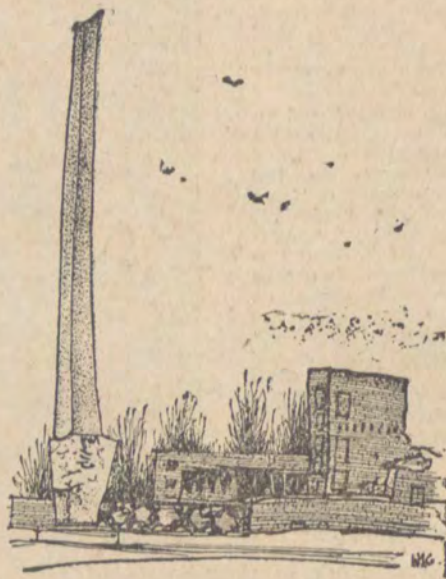
1



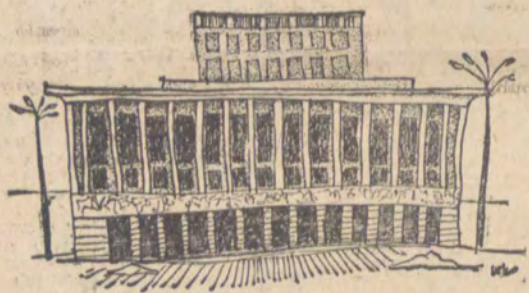
2



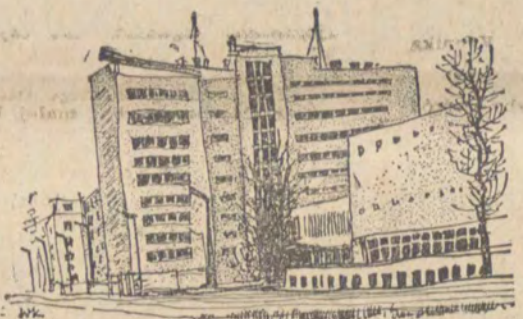
3



4



5



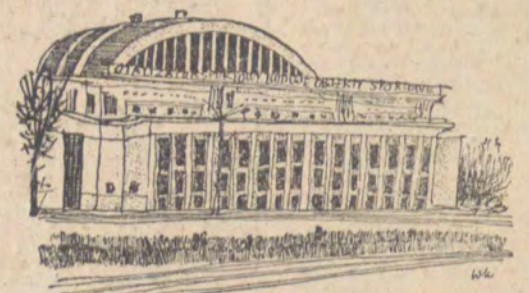
6



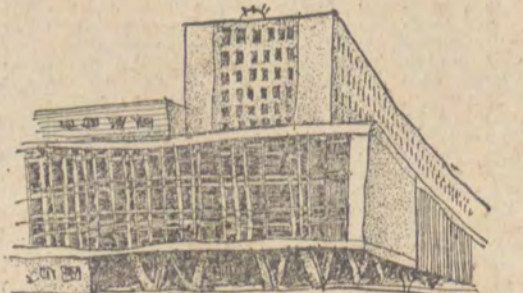
7



8



9



10

A

„190 tysięcy metrów sześciennych kubatury, około 7 tys. punktów oświetleniowych (około 30 razy więcej niż na Piotrkowskiej), 2500 kW zainstalowanej mocy elektrycznej, to jest tyle, ile potrzeba do oświetlenia 15—20-tysięcznego miasta. Waga głównej kurtyny ze stali — 17 ton”.

B

„Dyskretnie ukryty w głębi pasaży ulicy Parkowej, w samym centrum miasta, a jednocześnie oddalony nieco od największego gwaru ulicznego. Jego smukła sylwetka, górująca nad okolicznymi domami, wita przybyszów ogromnym neonem, umieszczonym na szczycie wieżowca”.

C

„Budynek jest kolosem. Wydaje się nad podziw lekki, o zdumiewającej harmonii. Stoi jednak na przepięknych filarach w kształcie odwróconego „V”.

D

„Na instalacje wodociągowo-kanalizacyjne i CO zużyto 36 km rur, w tym pod samym lodowiskiem — 18 km.”

E

„Pierwszymi czytelnikami byli żołnierze. Domagali się map. Przy stołach bibliotecznych uczyli się trasy na Berlin”.

F

„Piszę z Wieży Babel, z nadmiaru wrażeń, jeszcze niezupełnie uporządkowanych”.

G

„Czytelnie obliczone są na około 600 miejsc, w tym specjalne pokoiki dla odczytywania mikrofilmów i fotokopii, pokoje dla pracowników naukowych, czytelnia humanistyczna, przyrodnicza i czasopism oraz sala muzyczna itp.”

H

„Nie jest dla nikogo tajemnicą, że lekka muza cieszy się w Łodzi szczególnym powodzeniem”.

I

„Powierzchnia terenu mauzoleum — 7 tys. 82 m kw.”

J

„Hotel, który przez dziesięć miesięcy w roku jest tylko domem akademickim, stoi sobie w pięknym punkcie miasta, obok szerokiej dwustronnej autostrady”.

Nasz nowy konkurs składa się z dwóch elementów. Rysunki artysty-plastyka Wacława Kondka ukazują ważne obiekty kulturalne o jakie wzbogaciło się nasze miasto w ostatnich latach. Cytaty z publikowanych w „Odgłosach” artykułów dotyczą tych samych obiektów. By trafnie rozwiązać konkurs należy do odpowiedniego symbolu cyfrowego, jakim zaopatrzone są rysunki odnieść symbol literowy figurujący obok właściwego cytatu.

Tak wypełniony kupon konkursowy należy przesać do dnia 15 marca br. pod adresem redakcji „Odgłosów”. Łódź, ul. Piotrkowska 96 z adnotacją „Konkurs Dziesięciolecia”.

Za trafne rozwiązanie czekają następujące nagrody:

I NAGRODA — APARAT FOTOGRAFICZNY.

II NAGRODA — RADIO TRANZYSTOROWE.

III NAGRODA — ADAPTER oraz wyróżnienia książkowe.

KUPON

Imię

Nazwisko

Adres

1 6

2 7

3 8

4 9

5 10

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlach, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17. Zam. 606. III. 1968. P-5.